NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XX. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 472.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódź, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 80 Marek.

Rok XIX. Kraków, 25 marca 1922. Nr. 12

Smiertelny pojedynek posterunkowego z bandytą



Śmiertelnie raniony podczas pościgu przez bandytę z Dmytrowic, Iwana Brucza, posterunkowy Nowak, celnym strzałem z karabinu kładzie trupem swego mordercę

Śmiertelny pojedynek posterunkowego z bandytą.

(Do illustracyi tytułowej).

Fala bandytyzmu, jedno z przykrych następstw wojny światowej i wywołanego przez nią chaosu, zatacza w kraju naszym coraz to szersze kręgi. Nieprzyjaciół cudzej własności, pragnących w łatwy sposób dojść do majątku, coraz to więcej, okolice, niegdyś zupełnie spokojne trapią całe bandy opryszków, należycie zorganizowane i postępowo uzbrojone, spędzając sen z oczu mieszkańców, niepewnych swego życia i mienia nie tylko nocną porą, ale i w biały dzień, zuchwalstwo bandytów posuwa się do granic dotąd u nas nie znanych. Przedewszystkiem plaga ta daje się odczuwać wzdłuż wschodnich kresów, gdzie nagromadziło się dość mętów społecznych, przybyłych z zagranicy, nie jest wolną od niej także i reszta kraju, a wszelkie usiłowania władz bezpieczeństwa, aby złemu zaradzić, napotykają na trudności, akcyę całą nieraz w zarodku paraliżujące. Sama ludność okolic, w których hulają rozbójnicze watahy, zteroryzowana przez swych prześladowców, kryje ich niejednokrotnie w obawie zemsty z ich strony przed dostaniem się w ręce karzącej sprawiedliwości. Pozatem siły policyi państwowej są widocznie za słabe, cóż bowiem znaczy i jak sobie może dać radę jeden lub dwu posterunkowych, jeśli natrafią na całą ich szajkę, i uzbrojoną należycie i nie cofającą się przed żadnym gwałtem, byle bronić swej wolności, gdy wiedzą dobrze, co ich czeka.

We wschodniej części Małopolski przyłącza się jeszcze do tego agitacya polityczna, niesumiennie prowadzona, co wpływa bardzo ujemnie na tamtejsze stosunki. Bandyci, nic właściwie z polityką wspólnego nie mający, a dybiący jedynie na cudze mienie, występują niejednokrotnie w charakterze bojówek, walczących w imię haseł niepodległej Ukrainy, grabiąc przedewszystkiem swych „politycznych wrogów“, swoich zaś oszczędzając.

Niemal każde województwo ma na swem terytoryum jakąś większą bandę opryszków, operującą na dobrze sobie znanym terenie, niektóre z nich zyskały sobie smutną sławę w całym nawet kraju. W walce z niemi pada niejednokrotnie ofiarą i życie ludzkie, na największe zaś niebezpieczeństwo narażeni są przedewszystkiem ich niestrudzeni prześladowcy, to jest funkcyonaryusze policyi państwowej.

W ubiegłym tygodniu zaszedł wypadek śmierci posterunkowego przy spełnianiu swego ciężkiego i odpowiedzialnego obowiązku.

Podczas patrolowania w swym rejonie posterunkowi policyi państwowej z Chodorowa, Nowak i Drozdowski, w pościgu za bandytami natrafili na szajkę ich we wsi Dmytrowicach. Bandyci, spostrzegłszy posterunkowych, rozbiegli się po wsi, a za jednym z nich, Iwanem Bruczem, puścił się w pogoń posterunkowy Nowak. Bandyta ukrył się za stodołę, a gdy Nowak zbliżył się do niego, celnym strzałem rewolwerowym ranił go ciężko. Śmiertelnie ugodzony Nowak padł na ziemię, lecz ostatkiem sił podniósł karabin i wystrzelił, kładąc bandytę na miejscu trupem. W dwie godziny później dzielny posterunkowy zakończył życie. Obecnie aresztowała policya całą szajkę.

Kraków w dzień Imienin Naczelnika Państwa.

W niedzielę dnia 19 go marca b. r. obchodził i Kraków wraz z całą Polską uroczystość Imienin Naczelnika Państwa, Józefa Piłsudskiego. W uroczystości wzięły udział władze wojskowe, cywilne, oraz ogół ludności, manifestując w ten sposób swój hołd dla Tego, który jest dziś widomą głową naszej państwowości. W dniu tym zjednoczyły się ze sobą wszystkie sfery naszego społeczeństwa, bez różnicy zapatrywań politycznych, aby z jednej strony dać wyraz uznaniu i sympatyi dla Solenizanta, który przy doprowadzeniu do skutku wielkiego dzieła odrodzenia Polski, niespożyte położył zasługi, z drugiej zaś, aby stwierdzić, że w tych ciężkich warunkach, w jakich nam żyć przychodzi, zgoda i jedność gromadzą ogół polski u wspólnego ołtarza budzącej się do nowego życia samodzielnej i zjednoczonej Ojczyzny.

Uroczystość Imienin Naczelnika Państwa rozpoczęła się już w sobotę, w szkołach urządzono uroczyste poranki, w poszczególnych oddziałach wojskowych wyjaśniono żołnierzom zasługi i znaczenie Józefa Piłsudskiego, wieczorem przeciągały ulicami orkiestry. Budynki rządowe i prywatne udekorowano flagami o barwach narodowych.

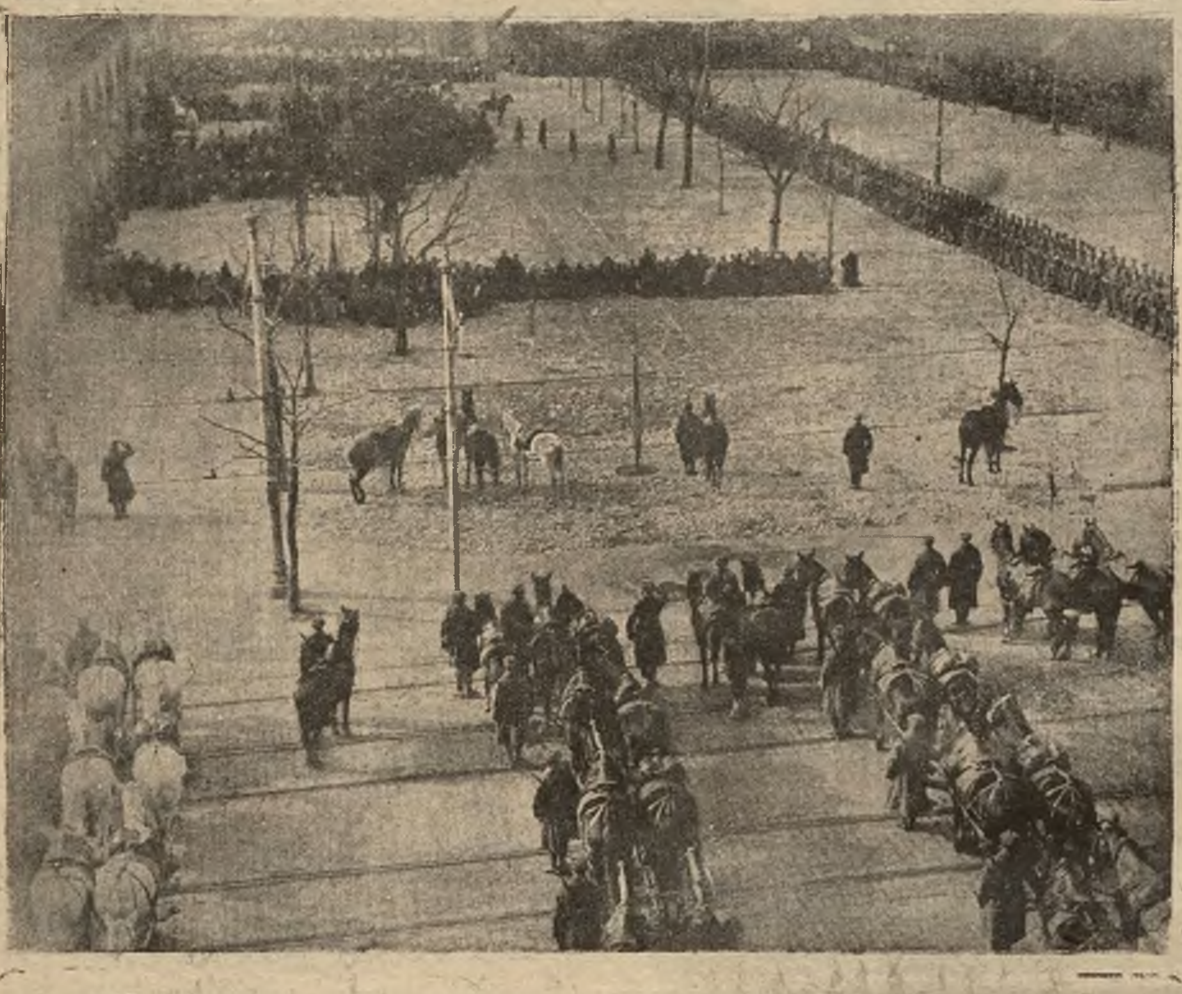
W niedzielę, po rannej pobudce muzyk wojskowych i cywilnych odbyła się na starym Rynku krakowskim właściwa uroczystość, to jest msza polowa, odprawiona przez dziekana załogi krakowskiej, ks. Niezgodę. W czworoboku ustawionym dookoła ołtarza przez oddziały wojskowe wszelkiej broni, zebrali się przedstawiciele władz wojskowych z inspektorem armii jen. Szeptyckim i jen. Tronyo, szefem Misyi wojskowej francuskiej, naczelnicy urzędów z wojewodą Gałeckim, prezydyum i Rada miasta, delegaci instytucyi, reprezentanci świata naukowego, członkowie Komitetu obywatelskiego, weterani z 63 r., i td. Poza szpalerem wojskowym zgromadziły się tłumy publiczności, młodzież szkolna i td.

Po nabożeństwie całe tłumy popłynęły w stronę ulicy Karmelickiej, gdzie u wylotu ulicy Szewskiej odbyła się przed jeneralicyą i przedstawicielami władz defilada. Publiczność oklaskiwała przeciągające oddziały. Następnie wojewoda Gałecki odbierał życzenia dla Naczelnika państwa.

Wieczorem w teatrze im. Słowackiego odbyło się uroczyste przedstawienie „Horsztyńskiego“, w którem wziął udział wojewoda dr. Gałecki z naczelnikiem wydziału prezydyalnego Kowalikowskim. W loży wojewody zasiedli zaproszeni: jen. Szeptycki i jen. Tronyo z rodziną. Publiczność oklaskiwała mowę rektora M. Siedleckiego, przedstawiającą działalność i znaczenie Józefa Piłsudskiego, oraz deklamacyę okolicznościową p. Adwentowicza, jak również doskonałą grę artystów.

W teatrze „Opera i Operetka“ przemówił do publiczności p. Wincenty Wodzinowski, poczem odbyło się przedstawienie „Halai“, wystawione nader starannie przy przepełnionej widowni.

Również i w teatrze „Bagatela“ przed przedstawieniem „Topieli“ prof. Pochmarski wygłosił przemówienie na temat wielkiej postaci Piłsudskiego.



Kraków w dniu Imienin Naczelnika Państwa: Rynek krakowski w czasie mszy św. polowej w dniu 19 marca b r.

Odjazd francuskiej Misyi wojskowej z Krakowa.

Sojusz polsko francuski, podyktowany nie tylko sympatyami, łączącemi oba narody, ale i wspólnym interesem, pociągnął za sobą zajęcie się sfer wojskowych francuskich organizacyą i wyszkoleniem należytem tworzącej się armii polskiej, mającej wspólnie z francuską stać się rękojmią pokoju na lądzie stałym Europy. W r. 1920., gdy zagroziła nam nawała bolszewicka, pospieszyła Francya z wydatną pomocą w materyale wojennym, oraz nadsyłając cały szereg instruktorów, którzy w owych groźnych dla nas chwilach oddali Polsce niezaprzeczone usługi. Po odparciu najazdu bolszewickiego i nastaniu względ-



Kraków w dniu Imienin Naczelnika Państwa: Jeneralicya, korpus oficerski, przedstawiciele władz podczas defilady wojska po mszy św. polowej w dniu 19 marca b. r.

dnie normalnych stosunków rozpoczęła się praca nad położeniem trwałych podsta pod organizacyę silnej polskiej armii, mającej nam zapewnić bezpieczeństwo, oraz stanowić zaporę dla wroga, grożącego Europie od Wschodu. W tym kierunku bardzo ożywioną działalność rozwinęła francuska Misya wojskowa z główną swą siedzibą w Warszawie, oraz poszczególne jej oddziały, rozmieszczone w ważniejszych centrach wyszkolenia, między innemi i w Krakowie. Na czele warszawskiej Misyi stali kolejno jenerałowie Henrys, Niessel, ostatnio Dupont, krakowskim od działem kierował jenerał Tronyo.

Praca, rozpoczęta w jesieni 1920., trwała rok cały, a owocem jej było wyszkolenie całego szeregu oficerów, podoficerów i szeregowców, których zadaniem będzie w dalszym ciągu kształcenie nowozaciężnych rekrutów. W ten sposób wytworzy się wspólność, łącząca armię polską i francuską, co jest tembardziej wskazane, że obu im grozi przedewszystkiem jeden i ten sam wróg, rozdzielający je od siebie. Z chwilą, gdy Niemcom przyszło na myśl zaatakować Francyę lub Polskę, muszą się liczyć z ewentualnością, że na swych tyłach będą poważnie zagrożeni, że czeka ich walka na dwu frontach, a to przeświadczenie powinno wpłynąć na ich wojenne zapały. Organizacya silnej armii polskiej była też solą w oku dla Niemców i ich cichych i jawnych przyjaciół, stała się jednak koniecznością wobec rosnących z dnia na dzień chęci odwetu z ich strony.

Ukończywszy swe prace w Polsce, opuszczają ją wojskowe Misye francuskie, zatem także i krakowski oddział, który w bieżącym tygodniu wyjeżdża do swej ojczyzny, z pełnem przeświadczeniem, że wywiązały się należycie ze swojego zadania. Towarzyszy im szczere uczucie wdzięczności ze strony polskiego społeczeństwa, umiejącego należycie ocenić oddaną sobie przysługę. Francusko polskie braterstwo broni utrwaliło się w ten sposób jeszcze silniej.

Na czele krakowskiego oddziału francuskiej Misyi wojskowej stał jenerał Tronyo, współdziałali z nim majorowie artyleryi Vincent i Rout, major piechoty Boulanger, adjutanci Lechat i Simon. Jenerał Tronyo, przed wojną pełnił swe obowiązki służbowe w Marokku, w czasie wojny czynnym był na zachodnim froncie.

Francuskich gości żegna Kraków serdecznie choć z żalem.



Od ział francuskiej Misyi wojskowej z Krakowa: Szef krakowskiego oddziału Misyi jenerał Tronyo.

Francya a Wschód.

Aczkolwiek pismo nasze nie jest politycznem, wskazywaliśmy już kilkakrotnie na rozbieżność polityki poszczególnych państw, należących do Koalicyi, a to w szczególności w sprawach dotyczących Wschodu. Między Francyą a Anglią wytworzyła się taka różnica, że niewiele brakowało, aby przed niedawnym czasem przyszło między niemi do zerwania owego „serdecznego stosunku", jaki je rzekomo łączy. Powodem tego było zajęcie stanowiska wobec Turcyi, któ ą Anglia postanowiła zupełnie wyrugować z Europy, aby się módz swobodnie usadowić nad Bosforem i w ten sposób stać się władczynią morza Czarnego, gdy natomiast Francya, stojąc w obronie swych interesów na Wschodzie, stosowała wobec Turków politykę bardziej umiarkowaną, zyskując sobie w ten sposób ich sympatye i umacniając swe znaczenie.



Francya a Wschód: Delegaci marokkańscy na uroczystość inauguracyjną budowy meczetu w Paryżu: Haddour Ben Ghabrit szambelan sułtana Ababou, Ben Sayah, astronom z Fezu wraz z przedstawicielem rządu francuskiego Maurycym Colrat.

Ruch, jaki przeciw Europejczykom, przedewszystkiem zaś przeciw Anglii wszczął się wśród ludów rasy żółtej, zagroził poważnie interesom ich kolosalnej polityki, a wicekról Indyi, lord Reading, aby zyskać dla Anglii sympatye indyjskich wyznawców Islamu, zażądał wyraźnie od gabinetu angielskiego, aby zaniechał represyi stosowanych przeciw Turcyi i zrezygnował z projektu przeniesienia kalifatu z Konstantynopola do Mekki, co musiałoby się przyczynić jeszcze bardziej do wzmożenia się nieprzyjaznych uczuć względem europejskich ciemiężców.

Anglia mimo to prowadzi w dalszym ciągu swą dotychczasową politykę, drażniącą Wschód, Francya pozostaje także wierną swemu nowemu kierunkowi, którego celem pozyskanie sobie sympatyi rasy żółtej bez wielkich ze swej strony ofiar. I jak się zdaje, droga, na którą weszli francuscy politycy, jest daleko pewniejszą i wygodniejszą, choć, gdyby przyszło na Wschodzie do poważniejszej zawieruchy, nie wyszłaby z niej bez szwanku także i Francya.

Jednym z objawów kokietowania Wschodu przez rząd francuski jest budowa meczetu w Paryżu, mająca być wyrazem wdzięczności dla Marokka i jego ludności za ich ofiarność i skuteczną pomoc w czasie wojny światowej. Na ten cel zebrano w Afryce trzy miliony franków, rząd francuski przyczynił się ze swej strony pięciuset tysiącami, obiecując dalsze współdziałanie, pod budowę meczetu przeznaczono jeden z ważniejszych punktów miasta, Plac *Puits-de-l'Ermite* obok Ogrodu Botanicznego. Uroczystość inauguracyjna odbyła się w Paryżu w dniu 1. marca b. r. przy udziale przedstawicieli świata muzułmańskiego, którzy wystąpili w swych malowniczych wschodnich kostyumach, delegatów rządu francuskiego i tłumów publiczności. Plany monumentalnej budowli są dziełem najwybitniejszych francuskich architektów.

Zgon francuskiego dramaturga.

Francuska literatura dramatyczna poniosła w ostatnich czasach dotkliwą stratę przez nagły zgon jednego z najbardziej uzdolnionych współczesnych autorów, cieszących się wielkiem uznaniem tak w kraju rodzinnym jak i daleko poza jego granicami. Jak każdy z pisarzy, miał on swych zwolenników i przeciwników, liczba tych drugich była przecież bardzo znikomą, a głosy ich ginęły wobec hymnów



Zgon francuskiego dramaturga: Henryk Bataille, autor granej na krakowskiej scenie *Maman Colibri*.

pochwalnych, jakich nie szczędzono autorowi, umiejącemu dostosować się do obecnego ducha czasu, podać widzom temat interesujący i działający silnie na nerwy, a ujęty we formę prawdziwie artystyczną.

Henryk Bataille znany i u nas autor dramatyczny, zmarł nagle w Paryżu w sile wieku. Należał do najczęściej grywanych i najsilniej oklaskiwanych autorów francuskich. Prawie wszystkie jego utwory miały ogromne materyalne powodzenie i zdobyły sobie prawo obywatelstwa na głównych scenach europejskich. Poraz pierwszy wystąpił na widowni w roku 1894 z dramatem poetycznym p. t. „Śpiąca królewna“, ale prawdziwy sukces zdobył dopiero sztuką p. t. „Maman Colibri“ wystawioną także na scenie krakowskiej. Jest to historya kobiety w wieku dojrzałym, która pada ofiarą miłości dla — swego syna. Ten drażliwy temat opracował Bataille bardzo zręcznie, posługując się jednak przytem efektami zbyt brutalnymi. Z innych jego sztuk wymienić trzeba „Kobietę nagą“, gdzie pod drastycznym tytułem kryje się tragedya modelki, która poślubiła początkującego malarza i została przez niego porzucona, gdy zdobył sławę i majątek. Początkiem zaś jego rozgłosu był akt żony wystawiony w Salonie, który zdobył artyście ogólne uznanie. Dalej „Szaloną pannę“, gdzie Bataille opowiada dzieje awanturniczej miłości młodej panienki dla żonatego mężczyzny; „Pochodnie“, której temat był zaczerpnięty z głośnych przejść erotycznych jednego z paryskich uczonych, „Człowieka z różą“ i wreszcie dwie ostatnie sztuki „Possesion“ i „Chair humaine“, które jednak w Paryżu upadły. To niepowodzenie, do którego nie był przyzwyczajony, zdenerwowało Batailla i przyczyniło się może do szybkich postępów choroby sercowej, która go wkońcu zmogła.

Bataille był niezawodnie dramaturgiem utalentowanym i jednym z tych, którzy umieją wyczuć upodobania publiczności. Jego sztuki pisane są z wielkim rozmachem, ale także z bardzo troskliwem uwzględnieniem niezbyt wysokich teatralnych efektów.



Groźne położenie w Indyach: Książę Walii wraz z maharadżą udają się na słoniu „Hiragaz“ do pałacu w Gwalior.

Groźne położenie w Indyach.

Zachwianie się stanowiska wszechpotężnego jak się dotąd wydawało Lloyd'a George'a jest następstwem niepowodzeń angielskiej polityki, której równocześnie zadały ciosy bolesne Irlandya, Egipt, Południowa Afryka i Indye. Sztuczny zlepek tworzący dziś imperyum wielkobrytyjskie, okazuje coraz większą tendencyę do rozpadu, a składają się na to najróżnorodniejsze czynniki, w szczególności zaś budzący się wszędzie ruch nacyonalistyczny i chęć samostanowienia ludów o własnym losie w myśl zasad ogłoszonych traktatem wersalskim, lecz lekceważonych przez Anglię. Uciemiężone narody, jęczące pod berłem angielskiem, zapragnęły wolności i nie myślą się zadowolić jedynie jej cieniem, skoro czują się na siłach, by ją w pełni uzyskać.

Z Irlandyą, po użyciu ciężkich represyi udało się jakoś szczęśliwie dojść do porozumienia, czy jednak na długo, to bardzo wątpliwe, gdyż ruch antiangielski wzrasta tam z dniem każdym. Powstanie w Afryce Południowej, jak się okazało wspierane moralnie i materyalnie przez bolszewików rosyjskich stłumiono w potokach krwi, pozostał Egipt, gdzie sytuacya zaostrza się z dniem każdym, przedewszystkiem zaś Indye, na których całym prawie już obszarze rozlega się hasło: „Śmierć Anglikom!... Precz z najeźdźcami!... Indye dla Hindusów!...“

Spełniły się słowa lorda Northcliffe, który przed niedawnym czasem powróciwszy z Indyi oświadczył całkiem seryo, że Anglię czeka tam ciężki orzech do zgryzienia, grozi jej bowiem powstanie, niebezpieczniejsze dla niej, niż ruch rewolucyjny z r. 1857. Nie spodziewano się nawet, że ziści się ta przepowiednia tak prędko i tak dosłownie. Jak długie i szerokie Indye, rewolta szerzy się wszędzie, a niewiele przyczyniają się do jej uśmierzenia represye, stosowane przez rząd angielski, jątrzące jeszcze



Groźne położenie w Indyach: Ali Musaliar, jeden z przywódców ruchu powstańczego wśród Moplahów, uwięziony i stracony przez Anglików.

bardziej niezadowolonych. Że i tutaj bolszewicy umaczali swą rękę, w to wątpić nie należy. Dotychczasowa polityka angielska w Indyach potrafiła doprowadzić do tego, że każdy Anglik uważany jest tam za śmiertelnego wroga, a rządy ośmdziesięciu tysięcy najeźdźców nad trzystu przeszło milionami miejscowej ludności muszą się raz skończyć i to fatalnie dla tych pierwszych.

Jeden z angielskich rzeczoznawców wojskowych oświadczył niedawno, że utrzymanie Indyi siłą wymagałoby co najmniej milionowej armii, na co sobie Anglia pozwolić nie może. Powagę swą ratuje rząd londyński szerzeniem terroru, ofiarą jego padł już przywódca hindoskich nacyonalistów Gandhi, aresztowany przez władze angielskie i skazany na sześć lat więzienia.

Bojkot władz angielskich przez Hindusów, zainicyowany przez Gandhiego rośnie z każdym dniem, jak się zaś przedstawia sytuacya w kraju świadczą najlepiej telegramy londyńskiego dziennika *Daily Mail* z jednego tylko dnia, które donoszą, że w Pendżabie ruch powstańczy szerzy się wśród wojowniczych Sikhów, którzy dotychczas okazywali się lojalnymi, w Madrasie ludność odmawia płacenia podatków w myśl hasła bojkotu, w Malabar bunt Moplahów został stłumiony, ale niektóre bandy walczą



Groźne położenie w Indyach: 1) Żołnierze angielscy podpalają chaty zdobytej osady powstańczych Moplahów. 2) Grupa Moplahów wziętych przez Anglików do niewoli.

RENE BURES.

Zil=X...

18) tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

Mogliśmy przez chwilę przy świetle świecy, zdać sobie sprawę z rozkładu mieszkania. Szeroki korytarz, w którym znajdowaliśmy się, przedzielał na dwie części pierwsze piętro. Z jednej strony był pokój, do którego weszliśmy przez okno, obok zaś znajdował się drugi pokój również pusty, którego drzwi były teraz uchylone.

Z drugiej strony korytarza widniało dwoje drzwi, prowadzące zapewnie do mieszkania kapitana de Limandoux. Dostrzegłem, że drzwi te były zamknięte i nałożone pieczęciami. Dalton również zauważył ten ważny dla nas szczegół. Pociągnął on nas teraz do drzwi znajdujących się najdalej schodów. Słyszałem jak rękami szukał czegoś w ciemnościach. Zapewnie badał wytrzymałość zamków u drzwi.

Dobiegł mnie po chwili suchy trzask... Pieczęcie pękały pod jego silną ręką. Wszystko co we mnie było z zasad poszanowania władzy — zamarło teraz w dreszczu, który przebiegł wszystkie moje członki. Już od godziny zresztą żyłem po za nawiasem prawa ryzykując wolność swoją i opinię z lekkiem sercem i sumieniem. Czyż nie działaliśmy zresztą w dobrych zamiarach, dla sprawy sprawiedliwej i czystej?

Dotąd jednak nie odczułem jeszcze całej grozy naszego przedsięwzięcia zuchwałego. Ale teraz, w tej chwili ten zgrzyt suchy odpadających pieczęci, przejął mnie wewnętrznym dreszczem.

Dalton zapewne nie odczuł skrupułów tego rodzaju. Doceniał ważność swojego czynu i nie chciał tracić czasu na zbyteczne rozumowania.

Energicznym ruchem pchnął drzwi i weszliśmy do mieszkania,

— Doskonale! — szepnął z zadowoleniem — drzwi nie były nawet na klucz zamknięte.

Chciałem je zamknąć, ale on ruchem ręki powstrzymał mnie.

— Zostaw je otwarte — rzekł zapalając zapałkę. Czegoż mamy się teraz lękać? Ci ludzie, tam na dole, wiedzą już zapewne o naszej obecności tutaj. Jeżeli wpadną, to lepiej niech się to stanie przy świetle a nie w ciemnościach. Chciałbym tylko wiedzieć, czy naprawdę chcą nas podejść z nienacka. Numer 42 tam czuwa. Dalej więc do roboty! Już teraz możemy sobie pozwolić na zrobienie trochę hałasu!

Poszukiwania rozpoczęły się. Dalton, dla udogodnienia tej czynności zapalił nawet ośm świec nietkniętych, pozostawionych w dwóch kandelabrach, stojących na kominku. Przedtem jednak obejrzał je dokładnie, jak również zegar, znajdujący się obok. Nad tym zegarem Dalton zabawił dosyć długo, jak gdyby chciał z wnętrza jego wydobyć jakąś tajemnicę. Rezultatem tego, była kupka śrub, wskazówek i szkiełek, które pozostawił na kominku. Nie przypominały już one w niczem zegara.

Następnie Dalton ukląkł i zaczął czegoś gorliwie szukać w otworze kominka. Spalił kilka zapałek, wsuwając coraz głębiej głowę w czerniejący sadzą otwór, w końcu przeglądać zaczął palenisko. Pełne było popiołu, czarnego i pielatego, miejscami lekkiego, miejscami znowu zbitego w masę. Widocznem było, że różne papiery spalone w nim niedawno zostały.

Dalton nie odrywał od nich oczu. Rozcierał na ręce, wąchał, kiwał głową. W pewnej chwili rozrzucać zaczął tę kupkę, z wściekłością jakąś, i znowu brał szczyptę popiołu na ręce przyglądając mu się uważnie.

— Nic się nie dowiem z tego — wyrzekł w końcu powstając. — Spalono w tym kominku parę kilo papieru. A że nie można przypuszczać, aby kapitan de Limandoux uczynił to na chwilę przed niespodziewaną śmiercią — więc uczynić to musiał morderca. — Jest to zdaje się przypuszczenie dosyć trafne chociaż na nie dowodu rzeczowego nie mam jeszcze.

— Czy pan jest pewnym — odezwał się stary Dambleuse, który wyprostowany i nieruchomy stał na środku pokoju — że nie można wyczytać na większych szczątkach tych popiołów, liter jakichś? Mogłyby one nas naprowadzić na stwierdzenie, jakie były te papiery spalone przez mordercę kapitana de Limandoux.

— Tego właśnie szukałem odparł Dalton. Ale ten morderca, musi być ostrożnym człowiekiem. Wiedział dobrze, że spalone papiery zachowują często swój kształt pierwotny i że pismo ukazuje się na szczerniałem tle. Kiedy spalił już wszystko, rozprószył, zniszczył te popioły. Pozostawił proch tylko.

— Wiemy chociaż to — dorzuciłem — że mordercy zależało na zniszczeniu i spaleniu jakichś papierów ważnych dla niego.

— Zapewne. Mogliśmy jednak spodziewać się tego. Tak, to oczywiste. Morderca nie tylko chciał zabić kapitana de Limadoux. On chciał tu coś zrobić, schować lub zniszczyć inaczej nie powiększałby trudności przychodząc go zabijać we własnym domu.

— Pan ma na myśli Jerzego Dambleuse — zapytał stary.

— Nikogo nie mam na myśli. Lepiejby jednak było dla niego, gdyby nie było tych spalonych papierów — oto moje przekonanie.

— Jednakże.

— Szukajmy dalej — przerwał Dalton. — Nie mamy czasu na rozmowy. Muszę tu zebrać dowody ważne.

— Czy możemy ci w tem być pomocni? — zapytałem.

— Nie dotykajcie niczego, zanim ja dotknę, ale przeglądajcie jeszcze raz wszystko po mnie.

Była to praca wymagająca wiele cierpliwości. Dalton przerzucał, oglądał rzecz każdą po kilka razy, podając nam do jeszcze jednego, dokładnego obejrzenia. Wszystko przeszło przez nasze ręce. Dywany, stołki, stoły, szafy, lustra, wszystko składaliśmy w jeden róg. Wkrótce cały pokój był już pusty. Pozostawało tylko biurko i mały sekretarzyk rzeźbiony, zabezpieczony pieczęciami.

Przyszła i na to kolej. Pieczęcie oderwane zostały i Dalton prędko zatatwił się ze szufladami, ale w biurku nie znaleźliśmy nic zgoła, ani świstka, ani papierka najmniejszego.

Przeszliśmy więc do drugiego pokoju. Była to sypialnia kapitana de Limandoux. W tym to pokoju znaleziono go zabitego, leżącego u stóp łóżka. Policya pozostawiła tu wszystko nienaruszone. Zabrano tylko zwłoki, zakreśliwszy ich zarys kredą na posadzce i zabrano znaleziony przy nich browning, zapomniany przez mordercę. Naznaczony był on jak wiadomo cyfrą 103.000. Była to broń Jerzego Dambleuse!

Zabraliśmy się tutaj do dalszej pracy. Dalton przeszukiwał dalej wszystkie kąty, z tym samym uporem i starannością. Przyznaję, że czułem się zniechęconym. Było nieprawdopodobieństwem, aby kapitan de Limandoux nie ukrywał swoich sekretnych listów czy papierów w tym pokoju sypialnym i żeby cała nasza niebezpieczna i śmiała wyprawa spełzła na niczem.

W sypialni nie zauważyliśmy żadnych spalonych papie.ów i popiołów. Kiedy po odsunięciu łóżka, oderwania dywanów, przetrząśnięciu szaf i komody, nie znaleźliśmy nic szczególnego uwagi, musieliśmy się zgodzić na to, że wysiłki nasze próżne i całe przedsięwzięcie nieudane.

Dalton męczył się jeszcze przy komodzie rozrzucając po podłodze sztuki przetrząśniętej bielizny, stary Dambleuse ze świecznikiem w ręce milczący, ponury oświetlał całą tę scenę.

W końcu Dalton powstał i zaczął raz jeszcze pokój cały twardem, przenikliwem spojrzeniem. Widziałem, że był silnie zdenerwowany i zły. Szczęki miał zaciśnięte, a oczy jego błyszczały podnieceniem. Te oznaki u człowieka tak jak on umiejącego panować nad sobą. wykazywały jawne jego rozczarowanie.

Trzeba było pogodzić się z losem.

Gdzieś za ścianą zegar wybił godzinę.

— Druga godzina, Daltonie — zauważyłem.

— Tak, druga godzina i nic, nic, ani znaku, ani śladu żadnego — odparł mój przyjaciel — Oh! ten morderca, wyszkolonym był w swojej sztuce, umiał zabijać! Tęgi gracz z niego!

— Być może, że w kieszeniach ubrania kapitana były jakieś wskazówki, które policya zabrała. jak sądzisz?

— Nie róbmy sobie żadnych iluzyi. Pomyśl tylko. Gdyby coś podobnego rzeczywiście znajdowało się przy zwłokach, czy sądzisz, że morderca nie usunąłby tego?

— Zostawił jednakże swój rewolwer!

— Tak. I właśnie nie mogę tej rzeczy zrozumieć. Co za nieostrożność!

— Wracamy już?

— Wracamy — westchnął Dalton ciężko.

W tej samej chwili na schodach rozległ się wystrzał.

Numer 42 strzelał do kogoś.

Wybiegliśmy spiesznie z Daltonem na korytarz, Dambleuse szedł za nami z świecznikiem w ręce, niewzruszony jak zawsze, blady w migotliwem świetle świec.

W korytarzu nie było nikogo!

Ujrzeliśmy tylko ajenta jak przyparty całem ciałem do muru, z wyciągniętym rowolwerem mierzył do kogoś niewidzialnego na schodach.

— Co tam? — zawołał Dalton.

— Byłem pewny, że idą po schodach! — odpowiedział 42

— Byłeś zaatakowany?

— Nie, panie Dalton.

— Więc nie należało strzelać — wyrzekł zimno Dalton. — Słuchaj, coś narobił! Dzwonią w mieście na alarm. Jesteśmy teraz w ładnem położeniu, niema co mówić!

— Niech pan wybaczy — odparł numer 42 potrząsając głową — ale to nie mój wystrzał zbudził ludzi. Oni mogli strzelać, jeżeli chcieli narobić hałasu. A mnie się zdaje, że oni przedsięwzięli wszystkie ostrożności możliwe, aby właśnie nie hałasu nie robić.

— Cóż więc przypuszczasz, nie rozumię cię — mruknął Dalton z niezadowoleniem.

— Przypuszczam, że niema nikogo w tym domu i że tu wogóle nikogo nie było.

— Do wszystkich dyabłów!

— A jeżeli ktoś był, to miał dosyć czasu pobiedz po pomoc.

— Naprzód! — zawołał Dalton — ogarnięty jakąś gorączką.

Lewą ręką wyrwał świecznik z rąk starego Dambleuse i z rewolwerem w ręce prawej rzucił się na schody.

Skoczyliśmy za nim.

Dalton gwałtownym ruchem otworzył jakieś drzwi... potem drugie... trzecie...

Cisza głęboka panowała wszędzie. Tylko tam, gdzieś we wsi dzwon dzwonił na alarm bez przerwy.

Nagle Dalton zatrzymał się. Drzwi jakieś opierały się jego silnej pięści.

— Trzeba wyważyć!

Numer 42 uderzeniem ramienia prędko załatwił się z tą zaporą. Przy łóżku stało mniejsze dziecinne łóżeczko i kołebka. Koce i kołdry walały się na podłodze. Musiano ztąd w popłochu uciekać. Dalton rozejrzał się wokoło i szybkim ruchem podniósł broń do strzału wołając:

— Poświećcie mi!

Tam pod łóżkiem coś poruszało się w cieniu, jakiś kształt niewyraźny i ciemny.

Dobiegło nas zduszone mruczenie i szelest ciała poruszającego się i obijającego o nogi łóżka.

— Ah! — zawołał numer 42 wybuchając nerwowym śmiechem. — To pies!

Biedne zwierzę związane, owinięte prześcieradłem przywiązane było do nogi łóżka. Był to olbrzymi Bernard, który wyrywał się ze swojego więzienia z wściekłem szamotaniem i wysiłkiem.

— Ah!—westchnął z ulgą Dalton. — Teraz wiemy już wszystko! Ten łajdak pobiegł po pomoc! Zaledwie mamy czas uciec. Rzućcie świecę i uciekajmy ztąd jak najprędzej.

Mówiąc to Dalton rzucił się na ciężkie drzwi wejściowe. Widziałem jak gorączkowo poruszał grubą, żelazną klamką.

— Chodź że tu — zawołał dziwnym, zduszonym głosem, zwracając głowę w stronę ajenta.

Ujrzałem z kolei jak numer 42 napróżno naciskał i szarpał klamkę.

— Drzwi są na klucz zamknięte — wyrzekł po chwili. Nie dostaniemy się tędy.

— Trzeba otworzyć!

— To jest niemożliwe!

— Wyważ drzwi!

— To jest niemożliwe, proszę pana — powtórzył numer 42. — Te drzwi mają chyba sto lat. Kute mocno i pewnie. Przy fortecach lepszych nie mają!

— Przekleństwo! — syknął Dalton! — Niema co! Do okien! słyszysz! do okien!

Rzuciliśmy się wszyscy do pierwszego okna z brzegu i odskoczyliśmy zaraz z okrzykiem wściekłości. U okna zasunięte były mocne, żelazne okiennice. Ktoś naumyślnie zakręcił w ten sposób, grubym na palec drutem, że nie było można marzyć o przecięciu go bez pomocy stosownych narzędzi! Można było teraz przewidzieć łatwo, ze wszystkie okiennice przy oknach parterowych były w ten sam sposób zabezpieczone.

Przebiegliśmy wszystkie pokoje jak szaleni, usiłując pomimo wszystko przedostać się przez

jakieś okno, ale wszędzie spotkaliśmy się z tym samym oporem, a numer 42, siłacz pierwszorzędny, odskakiwał od nich z wściekłem przekleństwem na ustach!

Teraz Dalton stał na środku jednego pokoju, blady z gniewu, zaciskając kurczowo usta, wpatrzony odruchowo przed siebie.

Przyznaję, że wygląd jego dziwny przeraził mnie! Przeżywam dotąd wrażenie i świadomość niebezpieczeństwa, jakie nas czekało, nie przejmowało mnie tak, jak teraz ten błędny, nieruchomy wzrok, utkwiony w przestrzeń.

I zrozumiałem, że za chwilę może się tu rozegrać dramat straszny, bo Dalton nie da się brać żywcem.

Tymczasem on usiadł, głowę podparł rękami i wzrok opuścił na podłogę, obojętny i spokojny pozornie, ważąc w prawej ręce rewolwer nabity. Boże mój! co robić! jak go ratować i nas wszystkich razem z nim. Wiedziałem, że Dalton za żadną cenę nie opuści starego Dambleuse, że uważa za punkt honoru czuwanie nad jego bezpieczeństwem i osobą. Nie będzie się więc starał o ratowanie siebie, jeżeli i starego Dambleuse uratować mógł nie będzie.

A okna znajdowały się o sześć stóp nad ziemią! My moglibyśmy skoczyć, ale stary! Skok z takiej wysokości przypłaciłby napewno życiem.

Te myśli przebiegły mi błyskawicznie przez głowę i nagle przypomniałem sobie drabinę!

Bez słowa, jednym skokiem znalazłem się na schodach, które przebiegłem w szalonym galopie. Już byłem przy oknie... pochyliłem się...

Drabina!... Chciałem zaryzykować, skoczyć, odnaleźć drabinę i przytwierdzić do ściany!... Niestety! Prędko spostrzegłem, że ten ostatni sposób ratunku został nam odcięty!...

Drabiny nie było!...

Ah! ci ludzie tam z dołu, którzy nas w tę zasadzkę wciągnęli, ostrożni byli i przewidujący!

W ostatniej chwili pomyśleli także i o drabinie i przyszli ją zabrać.

Bo przecież wyraźnie przy blasku powstającego już powoli dnia widziałem, że jej niema na dole pod domem!

Oh! naprawdę! nie szczęściło się nam tego dnia! Przez chwilę wahałem się! Może nie zanieśli jej zbyt daleko? Może będę mieć jeszcze czas odnaleźć ją, przenieść tutaj i wyratować Daltona z towarzyszami!

Wahałem się, a tam dzwon nie przestawał wołać na alarm!

Okropne położenie!

Nagle do pokoju wpadł numer 42, blady, zmieniony i zaczął krzyczeć rozpaczliwie, wznosząc ręce do góry!

— Proch! panie! proch!

Pochwycił mnie za rękę, ciągnąc mnie za sobą, krzycząc bez przerwy zachrypłym od wzruszenia głosem:

— Proch! panie! proch!

I tak pociągnął mnie aż do gabinetu kapitana de Limandoux.

Zastałem tam Daltona! Owijał on pospiesznie nerwowymi ruchami pakiet jakiś w szmaty i serwety, walając się na podłodze.

Poznałem torbę z amunicyą kapitana.

— Proch! — syknął przez zęby Dalton.

Zrozumiałem!

Była to nasza ostatnia deska ratunku i to doskonała jeszcze! Szczęśliwym trafem, Dalton znalazł cały zapas prochu kapitana do polowania, który teraz miał nam służyć do wyrwania jakiegoś otworu w tym przeklętym domu, w którym byliśmy uwięzieni.

Było przeszło dziesięć kilo tego prochu!

Zeszliśmy na dół i Dalton wybrał stosowne miejsce do podłożenia prochu w kuchni pod oknem, które się nam wydało najmniej mocne i miało okucia rdzą zjedzone.

Tam to Dalton złożył swoją cenną zdobycz.

Ogarnął mnie jednak nagły niepokój.

— Czy sądzisz — zapytałem — że wybuch będzie dostatecznie silny?

— Oczywiście.

— Czy jednak wszystkie pudełka wybuchną równocześnie?

— Tak. Zanim je owinąłem, przedziurawiłem każde z nich pogrzebaczem. Stanowić to będzie teraz jedną wielką bombę. Ah! Valorbe! Będzie to ładny wybuch!

— Żeby tylko cały dom się nie rozleciał — zauważyłem niespokojnie.

— Ha! trudno! — odparł energicznie Dalton — Nie mamy wyboru. Sądzę jednak, że tylko ta część kuchni się rozleci...

Dalton zachował ostatnie pudełko. Przebił je i rozsypał proch po podłodze, kreśląc dwumetrowy może ślad w stronę drzwi. Poczem scyzorykiem rozkroił świecę, wyciągnął z niej knot i kawałek tego knota położył pod drzwiami na prochu.

— Oto podminowanie gotowe! - zawołał z zadowoleniem. — A teraz nagromadzimy do tej kuchni co tylko się da! Bierzcie się do roboty!

Cała ta operacya nie trwała dłużej nad dwie minuty, a może i mniej. Cała ta scena, od chwili, w której ujrzałem Daltona, klęczącego na podłodze, rozwinęła się z taką szybkością, iż miałem wrażenie, że przed mojemi oczami przesuwa się obraz kinematograficzny!

Ale następstwa tej sceny były jeszcze bardziej senzacyjne i szarpiące nerwy!

Tymczasem gromadziliśmy energicznie do kuchni wszystko, co nam do kuchni wpadło. Meble, dywany, ubrania, sprzęty, które ściągaliśmy z drugich pokojów. Rozumiałem doskonale plan Daltona, rozumiałem, że chciał „wypchać swój wystrzał, aby wywołać pewniejsze rozwalenie ściany, którą mieliśmy uciec.

— Oh! cóż takiego znajduje się w tych kieszeniach — wyrzekł nagle numer 42, trzęsąc jakiś płaszcz stary, zawieszony za któremiś drzwiami.

Numer 42 był dobrym wyżłem policyjnym. Nic nie uszło jego uwagi. Przeszukał teraz skrzętnie kieszenie, wciskając go równocześnie pomiędzy stół i kanapę.

— Listy i paczka! — oznajmił tryumfująco po chwili, zwracając się do Daltona.

— Chowaj do kieszeni i prędko na górę! wszyscy! — zawołał mój przyjaciel.

Równocześnie pochylił się i przytknął płomień świecy do knota. Jednym skokiem wpadliśmy wszyscy na górę.

— Zamknijmy się w pokoju w głębi — rozkazał Dalton. — Niemiło tu będzie za chwilę!

— Połóżmy się na podłodze — poradził Dambleuse.

— Dobra myśl!

Wyciągnęliśmy się jeden przy drugim.

— Cóż to? Nasz wystrzał się spóźnia! — niecierpliwił się Dalton, tracąc już widocznie panowanie nad sobą.

Nadsłuchiwaliśmy wszyscy zbijącem sercem! Przyznaję, że ta chwila nie należała do najprzyjemniejszych.

I nagle nastąpił wybuch!

Straszny huk, jak gdyby uderzenie piorunu, wstrząsnął domem. Zatrzeszczały przeraźliwie belki u sufitu, a podłoga zdawała się chwiać pod naszemi stopami. Drzwi pokoju otworzyły się z trzaskiem, uderzając głucho o ścianę i kłąb gorącego, przepojonego prochem wiatru wtargnął do środka.

— Na dół! Na dół! — zawołał Dalton, rzucając się ku drzwiom.

— Powoli! powoli, panie Dalton — przestrzegał numer 42. — Poczekajmy jeszcze! Może jeszcze nie wszystkie pudełka wystrzeliły.

Czy rzeczywiście byliśmy uratowani? A może i wysadzenie ściany nie pozwoli nam na ucieczkę, jeżeli tam na dole, dom jest już otoczony!

Świeży prąd powietrza, który uderzył mnie w twarz na schodach, zwrócił mi trochę nadziei. Zapewne ściana musiała zostać rozwalona.

W ciemności potykaliśmy się wszyscy o gruzy, którymi zapełniony był korytarz. Czyżby cała część domu była zniszczona? Było prawdopodobnem, że podłoga domu rozsadzona została, ale skąd te gruzy i przeszkody na korytarzu?

Napróżno starałem się zapalić zapałkę. Wiatr i przeciąg hulający wszędzie gasił ją bezustannie.

— Musimy czynić wszystko co możliwie aby się stąd wydostać — mruknął za moimi plecami Dalton.

Chodźcie za mną!

Ukląkł i przesuwać się z trudem zaczął poprzez nagromadzenie belek, desek i szczątek mebli przeróżnych.

Posuwałem się za jego śladem, rękami dotykając podeszew jego trzewików, starając się nie uderzyć o wątłe ściany tego improwizowanego tunelu.

Za mną pełzał numer 42 i Dambleuse.

Dalton nagle zatrzymał się. Słyszałem jak klął przeraźliwie. Cóż to być mogło? Czy groziło nam zasypanie pod gruzami? Wyczułem, że wytężał się całem ciałem, że starał się odepchnąć jakąś przeszkodę. Zamknąłem oczy... wysiłek ten jego mógł nas uratować albo też wywołać zwalenie się wszystkich belek na nasze głowy. Życie Daltona i nas wszystkich wisiało na jednym włosku, zależne było od jednej chwili!

Otworzyłem oczy na trzask okropny, który się rozległ koło mnie i widzę przez otwór, otwierający się na szmat zieleni w ogrodzie, jak Dalton toczy się jak kula naprzód i znika nagle. W minutę później, już byliśmy wszyscy razem w parku, na piasku, oddychając świeżem zimnem powietrzem poranku.

I wolni! Nareszcie wolni!

— Galopem! galopem! — doszedł mnie szept mojego przyjaciela.

Dwoma skokami przesadziliśmy grządki truskawek i kwiatów i wpadliśmy w gęste krzaki rododendronów i bzów. Dalton biegł bezustanku. Numer 42 i ja podążaliśmy za nim, podtrzymując starego Dambleuse.

Jedyną przeszkodą do dalszej naszej ucieczki była teraz już tylko furtka ogrodowa. Za nią w odległości pięćdziesięciu metrów stał nasz automobil gotowy do drogi.

— Naprzód! — rozległ się głos Daltona.

We trzech rzuciliśmy się całym ciężarem ciała na furtkę, która zatrzeszczała głucho i usunęła się pod tym naporem, pociągając nas w błoto.

Kiedy powstałem z ziemi posłyszałem chlapnięcie jakgdyby upadek kamienia w kałużę wody i równocześnie jakiś okrzyk donośny i ostry przeszył powietrze, tam od strony domu.

Tymczasem Dalton szybkim i energicznym ruchem podniósł starego Dambleuse, zgrabiającego się w błocie i postawił go na nogi.

— Wielki Boże! mruknął — gonią nas! Czyś nie ranny Vallorbe?

— Nie.

— A pan, panie Dambleuse?

— Nie — odpowiedział stary. — Ale cóż to jest? Co się tam stało?

Numer 42 już biegł naprzód.

— Oh! - zawołał Dalton. Ciężka sprawa, do dyabła! To żandarmi!

W tej chwili kula świsnęła mi koło ucha, druga zaś uderzyła w rewolwer Daltona niszcząc go.

— Przekleństwo! zaklął z wściekłością — Uciekajcie! Uciekajcie.

Pociągnąłem starego Dambleuse i widziałem jak Dalton pochylił się zbierając szczątki swojego rewolweru.

Dobiegł nas w chwilę później wówczas kiedy żandarmi już byli przy furtce parku.

— Wszystko dobrze! — wyrzekł zduszonym głosem. - Idyoci! Nie pomyśleli o otoczeniu nas.

Musieli być bardzo pewni, że nas pochwycą!

— Nie można nigdy być pewnym takiej rzeczy. No! dalej! dalej!

Wepchaliśmy starego do automobilu, wskoczyliśmy za nim i maszyna ruszyła z miejsca zagłębiając się w siną, gęstą mgłę poranną, unoszącą się nad ziemią.

Silny ogień karabinów pożegnał naszą ucieczkę. Dwie szyby naszego automobilu rozleciały się w drzazgi.

— Ranni? rzucił krótko Dalton.

— Nie! odpowiedzieliśmy wszyscy trzej.

— Doskonale!

Obejrzał wnętrze pudła i roześmiał się z zadowoleniem.

— Ani jednej kuli w drzewie! Niedołęgi! Nie umieją celować! No i co? panie Dambleuse? Jakże się pan czuje? I co pan mówi o tej naszej nocnej wyprawie?

Stary w milczeniu przyjął te słowa.

W tej chwili wiedziony ciekawością odwróciłem się i wyjrzałem przez małą szybkę umieszczoną z tyłu pudła. Przy blasku wschodzącego dnia ujrzałem tam w dali, ponad drzewami parku, kłąb gęstego dymu wznoszący się ku górze. Domek kapitana de Limandoux palił się!

— Wybuch prochu wzniecił ogień — wygłosił flegmatycznie numer 42.

— Tam do dyabła! — mruknął Dalton. Jesteśmy teraz rzezimieszkami i podpalaczami.

— Zaaresztują nas za chwilę to pewne — zauważyłem niechętnie.

— Nie! — odrzekł Dalton.

— Jakże to przecież...

— Nie! Nie! bądź spokojny! Jesteśmy niewinni jak nowonarodzone dzieci.

— Chciałbym jednak wiedzieć, jak się wytłómaczymy z tego wszystkiego.

— Nie będziemy się wcale tłómaczyć.

— Nie rozumię cię.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LEON GOZLAN.

Historya o stu trzydziestu kobietach

9)

Mulat rozwiązał chustkę ze szyi i odpiął kamizelkę nieszczęśliwemu kuchmistrzowi.

Wtenczas przyszedł mi do głowy pomysł, który niezwłocznie wykonałem.

Na ryzyko, że mnie nikt nie usłyszy, bo na całym pomoście piekielna była wrzawa, zawołałem najgłośniej jak mogłem:

— Koledzy, chcecie zjeść kuchmistrza, to bardzo dobry pomysł. Ten, którąby miał co przeciwko temu, byłby chyba ostatnim głupcem, ale nie wątpię, że przy tej biesiadzie, która jakkolwiek niezwyczajna, bardzo jednak naturalną mi się wydaje, chcielibyście uraczyć się przynajmniej. — Zaczęto mnie słuchać, to mnie ośmieliło. — Chciejcie zobaczyć, — mówiłem dalej — jak! wasz kuchmistrz jest chudy, to czysty jest szkielet, skóra tylko i kości. Nie będzie na nim nawet trzech funtów poczciwego mięsa. Uważajcie tylko dobrze, kochani koledzy... — a słuchali mnie coraz uważniej... — zdaje się, że podróż wasza na bardzo długą się zanosi, kiedy jeszcze sami nie wiecie, dokąd płyniecie. Dlaczegobyście nie mieli postąpić z waszym kuchmistrzem tak, jak z drobiem waszym postępujecie. Tuczycie wasz drób, utuczcie więc i jego, a jak będzie on dobrze, porządnie utuczony, zjecie go sobie wtenczas.

Długi, szczery, ogólny śmiech był skutkiem mojej oracyi, którą znaleziono tak słuszną, tak wymowną, tak sprawiedliwą, tak przekonywującą, że nie tylko ocaliłem biednego kuchmistrza, ale tryumf mój był tak zupełnym, że Ascott rzekł do innych majtków, śmiejąc się serdecznie:

— Ten człowiek jest rzeczywiście tak zabawny, nie trzeba mu tamować ruchów, zdejmijcie więc jego więzy i niech podziela z nami biesiadę. Uwolnijcie także kuchmistrza.

I wszyscy wołali: Tak, dobrze, zgoda!

Oddano więc nam obudwu wolność i, jak się zdarza zbyt często w tych buntowniczych zaburzeniach, wszyscy zaczęli się obchodzić po przyjacielsku ze mną, który nie dawno śmiercią przez nich zagrożony byłem.

— A przecież majstrze Gandolf, drugi raz już jesteś ocalony.

— Ocalony... łatwo to powiedzieć, ciekawym jednak, kto mógł być pewnym ocalenia pomiędzy tymi ludźmi, których szał z każdą chwilą coraz straszliwszych dochodził proporcyj, szał podżywiany ciągle powtarzającemi libacyami rumu i obecnością tych kobiet, których radość, krzyki, zapamiętałość, okropne, wściekłe, nieopisane, stawiały w niebezpieczeństwie istnienie całego okrętu, który zdawał się być pijany tak, jak ci, co stanowili jego osadę.

Znowu się więc odwrócono do pani Forster, która teraz tak bohaterską, jak dawniej złą była; pozwoliła się, nie rzekłszy słowa nawet, przybrać w ubiór deportowanej, podczas kiedy jej czepek, wstążki, szal, koronki, porznięte i rozerwane na drobne kawałki, stały się zabawką tych kobiet, które stroiły się niemi w śmieszny sposób, tak jak zgraja małp, któraby się dostała do magazynu szwaczki lub modniarki. Jedna tylko Karolina Prior nie brała żadnego udziału w tym szale wyuzdanym, który nie był niczem w porównaniu do tego, co miało nastąpić. Dzień nadchodził jednak powoli, chociaż można było myśleć sobie, że ta noc, której trwanie wiekiem się zdawało, nigdy już nie ustanie. Za nadejściem dnia wiatr się podniósł z zachodu. Fale pieniste z szumem spychały jedna drugą i widne były na niebie czerwone kręgi, które nie zdawały się przepowiadać dnia pogodnego. Ale któż na Niagarze mógł myśleć o czasie albo o pogodzie.

Kiedy pani Forster stanęła już przybrana w ubiór deportowanych, pod którym dreszcze ciągle wstrząsały jej ciałem, każda z tych kobiet, których blask piękności ożywiło pijaństwo, z rumieńcem na twarzy, z oczyma zaognionemi, każda mówię, z tych kobiet, przeszła z kolei przed szlachetną lady, rzucając jej w twarz swoje nazwisko i zbrodnię swoją.

— Milady, jestem Anna Butler, podpaliłam trzy domy.

— Milady, jestem Mary Godwin, otrułam mego brata.

— Milady, jestem Mary Kempt, sprzedałam moją siostrę.

— Milady, jestem Rosa Taylor, zamordowałam mojego męża.

— Milady, jestem Fanny Winter, spaliłam w piecu własne moje dziecko.

— Milady...

— Dosyć, dosyć! — zawołała lady Forster, zasłaniając oczy rękoma.

— A teraz — rzekła Prozerpina, rozdzierając gwałtownie ręce pani Forster i patrząc w jej oczy dumnie, groźnie i szyderczo — wiedz, że ty jesteś daleko winniejszą, daleko więcej zepsutą, niż Anna Butler, niż Mary Godwin, niż Mary Kempt, niż Rosa Taylor, niż Fanny Winter, niż my wszystkie dzieciobójczynie, podpalaczki i oszustki, bo ty jesteś tą nikczemną kobietą, która nie śmiała się przyznać do swego kochanka, jakikolwiek on był, wówczas, kiedy cię błagał o życie. Twoja cnota jest podlejszą od zbrodni naszych.

— Jakiż straszny sen — mówiła sama do siebie lady Forster, której energia nie była jeszcze zupełnie upadła pod ciężarem tych przekleństw.

— Oto przebudzenie — rzekła Prozerpina, podnosząc nagle panią Forster i sadzając ją do jednej z łódek, zawieszonych u boku okrętu. — Odczepcie łódkę! — zawołała na majtków, z którymi musiała się już była poprzednio o to umówić. I w tej samej chwili odczepiono łódkę, która w jednej minucie spuściła się w morze, kołysząc się powoli, zostawiona o sto kroków już za okrętem, który nie wstrzymał swego biegu. Chwila jeszcze, a łódka już była tylko czarną plamką na morzu, potem punktem, a nareszcie znikła wraz z panią Forster, puszczoną na wolę rozhukanego oceanu.

A na pomoście na widok tej egzekucyi powstały tak straszne krzyki radości, taki hałas i kocia muzyka, którą majtkowie na pożegnanie lady Forster wyprawili, że nie spostrzeżono, iż wiatr zaczynał dąć z coraz większą siłą; burza się zrywała, bałwany zalewały już pomost i Ascott, wskakując na galeryę z toporem w ręku, zawołał już nawpół pijanym głosem:

— Więc już wszystko skończone, Niagara już nie należy do Anglii, ten okręt należy do nas zbuntowanych, do nas zwycięzców.

I jednem uderzeniem topora ściął drąg, na którym zawieszonym był pawilon z herbem Anglii i dumny herb Anglii, godło zwycięstw i chwały, z którego każdy człowiek do tego narodu należący pysznić się powinien, bo ono oznaczało od wieków odwagę, porządek, pracę, bogactwo, obowiązek i wytrwanie, ta rycerska chorągiew upadła w wodę jak szmata bez użytku.

Ale podczas gdy herb Anglii upadał, usłyszano głos krzyczący: „Niech żyje Anglia!“ i wystrzał z pistoletu.

Był to kapitan Forster, który strzaskał sobie czaszkę kulą pistoletową, nie mogąc przeżyć upadku swojego pawilonu.

A burza srożyła się coraz bardziej; wiatr świszczał pomiędzy drągami i linami, uginającemi się ze skrzypem, żagle to natężały się, tak, że się zdawało, iż rozerwą się wkrótce, to znowu wisiały bezwładnie na drągach. Pieniste bałwany zmywały co chwila pomost i rozbijając się o maszty, spadały perlistym, srebrnym deszczem, którego każde ziarnko tęczowymi kolorami odbijało promienie przyćmionego już słońca. Ale straszliwa burza wrzała na Niagarze, pijaństwo osady wzmagało się ciągle w nieustające krzyki, wściekłość i rozhukanie. Gniew ludzi walczył o pierwszeństwo z gniewem niebios. A dzień był już zupełny. Pochodnie, które te wszystkie Nemezye i Furye oceanu niosły w ręku, zagasły nagle. Blask słoneczny miał już wszystkie te sceny ohydne oświecać.

Tu majster Gandolf przerwał swoje opowiadanie.

— Moje dzieci — rzekł do majtków — warta Diany już ukończona, trzeba nam iść spać. Na jutrzejszej warcie, jeśli Bóg mnie jeszcze przy życiu zostawi, opowiem wam dalszy ciąg powieści o Niagarze i o stu trzydziestu deportowanych.

IV.

Podczas następującej Diany majster Gandolf tak dalej ciągnął:

— Niepodobieństwem by mi było dać wam dokładne wyobrażenie o stanie okrętu, na którym osada zbuntowała się przeciw prawej władzy, trudno bowiem określić ten chaos, który zastąpił miejsce porządku, te ciągłe niebezpieczeństwa, na które narażał ich co chwila szał, żadną już karnością nie powstrzymywany. Na stałym lądzie wszystkie bunty i zaburzenia przedstawiają zawsze dwa sposoby ocalenia się; pierwszy, że zawsze jest otwarty sposób ucieczki dla tych, którzy nie chcą należeć do tego przewrócenia porządku towarzyskiego; drugi, że wrodzona każdemu potrzeba, żeby wejść napowrót w granice porządku i posłuszeństwa, zmusza zawsze do wyboru naczelnika, któryby silną dłonią ujął rozprzęgnięte władzy wodze; na morzu zaś nie tak się dzieje: którędy uciekać? morze naokoło; trzeba chcąc nie chcąc zostać i być pomimowolnym świadkiem i spółdziałaczem tego, co się będzie działo. Bo rękę, która nie chce działać, obetną; bo nogi, które nachylałyby się ku ucieczce, obciążone są zaraz kajdanami. Niema naczelnika, któryby mógł zaprowadzić porządek, sam Bóg wie tylko, kiedy to i jak wszystko się uspokoi.

To nam tłómaczy dostatecznie, dlaczego okręty, na których osada się zbuntowała, giną najczęściej ofiarami pożaru lub zatopienia. Taki okręt to już nie jest zbiór ludzi myślących, to tylko jeden człowiek szalony, na którego nikt nie jest w stanie więzy nałożyć. Zbuntowani Niagary uwięzili na spodzie okrętu wszystkich oficerów i urzędników okrętowych. Jeden tylko Thompson miał sobie pozostawioną zupełną wolność i mógł pisać tyle raportów, ile mu się podobało. Nie chciano pozbawić tego poczciwca jedynej przyjemności, w jakiej był sobie już oddawna upodobał i która potrzebą jego życia już się stała. A dopełniał tych obowiązków z największą w świecie starannością i punktualnością, którą zresztą okoliczności dostatecznie usprawiedliwiały. Na raportach jego wszystko najdokładniej było notowane, stan wiatru, obserwacye termometryczne i barometryczne i wszystkie krwawe i straszliwe wypadki, których co chwila Niagara stawała się widownią. Można tam było czytać, kuchmistrz Christmass dlatego jedynie nie został zjedzony przez majtków, że osada Niagary uznała słuszność uwagi majtka francuskiego, iż kuchmistrz nie doszedł jeszcze dostatecznego stanu utuczenia.

Majtkowie zostawszy panami okrętu, zgromadzili się częściowo około czterech naczelników, równych prawie z sobą co do władzy, Cartera, Ascotta, Prestona i Samuela mulata i ci czterej naczelnicy, których charaktery staraliśmy się już opisać czytelnikom naszym, ludzie namiętni i energiczni, spotykali się z sobą na jednem polu rywalizacyi. Carter i Preston, obydwaj zakochani w Karolinie Prior, Ascott i mulat, rywalizujący o serce Prozerpiny, tej pięknej grzesznicy, co umiała wlewać z tak spokojnem sumieniem ołów roztopiony w ucho śpiącego z nią człowieka, żeby chwilową przyjemność Ascottowi sprawić.

Jeżeli mnie się zapytacie — mówił dalej Gandolf do majtków — jakim sposobem Prozerpina i Ascott, którzy się poznali w Londynie tak, jak Preston i Karolina Prior, którzy w Dublinie zabrali znajomość, zeszli się razem na Niagarze, mógłbym łatwo wam na to odpowiedzieć. Te spotkania były rzeczywiście dziwne i niewytłómaczone, gdyby traf je zrządził, ale deportowane i majtkowie, którzy byli ich kochankami, umieli w tym względzie skutecznie dopomódz trafowi. Ci ostatni, którzy zawsze doskonale wiedzą, jaki okręt jest przeznaczony na odwiezienie ich kochanek do Australii, umieją zawsze znaleźć miejsce w liczbie osady, zaciąganej na ten okręt i tym sposobem odbywają z niemi podróż. To staje się powodem do różnych buntów, które wybuchają na pełnem morzu, jak naprzykład na Niagarze. Deportowane namawiają majtków, którzy mieli z nimi stosunki, a ci ostatni oddziałują znowu na całą osadę i spisek gotowy.

Najbardziej interesującą ze wszystkich deportowanych była miła i naiwna Karolina Prior, której zbrodnię trudno było odgadnąć, widząc jej twarz tak spokojną i niewinną, bo na tem pięknem czole żadna zła myśl, cień nawet złej myśli nie mógł nigdy zagościć. Jednakowoż, jakem to już wam powiedział, była ona przeznaczona na wieczną niewolę w Sydney czy też w Norfolk, w Nowej Holandyi. Sądzicie może, że Karolina Prior była ofiarą jednej z tych sądowych pomyłek, których wszędzie jest tyle przykładów. Mylicie się moi koledzy. Karolina Prior była najsprawiedliwiej potępioną, wyrokiem sądu dublińskiego za zbrodnię dzieciobójstwa.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika tygodniowa

Jeszcze nie przebrzmiały karnawałowe dźwięki, a tu mamy już i połowę postu, zatem nie na żarty myśleć trzeba o zbliżających się do nas wielkim krokiem Świętach Wielkanocnych, które jak już w poprzedniej kronice zaznaczyliśmy, zapowiadają się niezbyt wesoło. Oczywiście nie dla wszystkich, są bowiem wybrani, a jest ich nawet bardzo wielu, którym zupełnie wszystko jedno, czy kilogram szynki kosztować będzie pięćset marek, czy pięć tysięcy, oni ją bowiem tylko zjedzą, a kto inny musi za nią zapłacić. Czy kupiec, czy przemysłowiec lub rękodzielnik, każdy z nich ceny swych wyrobów lub towarów normuje wedle tego, ile sam płaci za to wszystko, czego potrzebuje, zbytnio go zatem głowa nie boli, skąd wziąść pieniędzy na pokrycie wzrastających z dnia na dzień wydatków.

W daleko gorszem natomiast położeniu jest naprzykład urzędnik lub każdy inny osobnik żyjący z pewnych ustalonych dochodów, które w żaden sposób nie chcą tak podskakiwać, jak ceny wszystkiego tego, bez czego obejść się trudno.

To też ci proletaryusze mają coraz smutniejsze miny, gdy natomiast tamci bardzo różowo zapatrują się na życie i bawią się całem sercem, choć teraz wielki post, a nie karnawał.

Wojna zmieniła do gruntu nasze stosunki. Dawniej w czasie wielkopostnym stanowiły rozrywkę dla publiczności mającej dość czasu i pieniędzy, co najwyżej koncerty, dziś, choć wielki post dobiegł do połowy, odbywają się w dalszym ciągu zabawy z tańcami, śledź idzie o lepsze z pączkami, a łatwiej wyobrazić sobie „tańcującego śledzia“ bo to przecież istota żyjąca, niż „tańcujące pączki“. Dzień św. Józefa, stanowiący w każdym poście wyjątek, przeznaczony na wspomnienie karnawału, przypadł tego roku na niedzielę, w sobotę już zaczęto się bawić, bawiono się przez całą niedzielę, a szewcy nie zapomnieli i o poniedziałku.

Z okazyi, że mamy już wiosnę za pasem i że lody na naszych rzekach już ruszyły, urządziła „Wisła“ w sobotę, w przeddzień św. Józefa, zabawę tańcującą, nazwaną „wiosenną“, kto zatem spodziewał się jeszcze mrozów i śniegów, może być już zupełnie spokojny i futro, jeśli je posiada, sprzedać, a za uzyskane w ten sposób pieniądze zacząć się przygotowywać do urządzenia święconego. Zapowiedzianych jest także kilka rautów, które obecnie zaczynają coraz bardziej wchodzić w modę, przynosząc instytucyom dobroczynnym bardzo piękne dochody, paskarze bowiem i lichwiarze zaszczycają je bardzo chętnie swą obecnością, aby bodaj w ten sposób zaznaczyć swą obywatelską działalność i okazać, że serca ich są czułe na niedolę bliźniego. Bo i cóż to za wydatek dla szewca lub krawca, jeśli zapłaci wstępu choćby nawet i kilka tysięcy marek, gdy następny dzień przyniesie mu ich kilkadziesiąt tysięcy, bo przecież nie zapomni przy kalkulowaniu cen doliczyć nieco na konto tej ofiary, jaką złożył na ołtarzu dobroczynności publicznej. Klient, potrzebujący jego usług, tak czy owak zapłaci, bez trzewików i ubrania można się bowiem obecnie pokazywać jedynie na sali balowej, ale nie na ulicy. Ponieważ zaś trudno dokładnie obliczyć, ile się właściwie wydało *ex re* takiego balu lub rauta, przyjmuje się zwykle pewną okrąglejszą sumkę i ma się z tego taką korzyść, że klienci wrócą to z nawiązką, a przytem ma się prawo do żądania uznania ze strony społeczeństwa, że się jest obywatelem, spieszącym chętnie na wezwanie, aby nieść pomoc potrzebującym. Dla oczu ludzkich, robi się wiele, jeśli jednak idzie o czyny miłosierdzia, spełnione w ukryciu, tak aby świat o nich nie wiedział, długo trzeba pukać do serca i kieszeni takiego pana, który znajdzie zawsze jakąś wymówkę, a jeśli łaskawie coś „kapnie“, to zazwyczaj tylko, aby się pozbyć, jak sam powiada, natrętnych żebraków, niepokojących go dniem i nocą.

Na balach i redutach, urządzanych na cele dobroczynne jawiło się w karnawale mnóstwo ludzi o czułem sercu, opłaty za wstępy szły w setki tysięcy i miliony, dziesięć razy tyle lub więcej pochłonęły wydatki, połączone nieodzownie z taką wyprawą, bo Kraków słynie z miłosierdzia i innym miastom może być pod tym względem stawiany za wzór. Ale też zapytać się warto czy naprzykład równie hojnie posypią się datki na rzecz Szpitala Bonifratrów, który w tym czasie właśnie odwołuje się do ofiarności publicznej, aby módz naprawić szkody, jakie mu wojna wyrządziła. W roku 1914. oddano wojskowości lokal szpitalny urządzony zupełnie postępowo, po siedmiu latach odebrano ruinę, na której przywrócenie do pierwotnego stanu potrzeba dziś setek milionów. Rząd polski przyznał wprawdzie Bonifratrom trzy miliony marek na pokrycie kosztów nieodzownej restauracyi, jest to jednak kropla w morzu, a u Austryi, której gospodarka do tego stanu doprowadziła zakład dobroczynny trudno się domagać jakiegoś przyczynienia się, gdyż ona robi bokami i raczej wzięłaby, niż dała, choć i tam są ludzie, mający dość pieniędzy na wyrzucenie, skoro jak czytamy w dziennikach, na jednej z redut wiedeńskich całusa pewnej divy otrzymał za milion trzysta tysięcy koron w drodze publicznej licytacyi szczęśliwie, oczywiście nie pracujący umysłowo inteligent, lecz handlarz bydła, zatem istota uprzywilejowana i w obecnych stosunkach robiąc znakomite interesy, mogąca sobie zatem na coś podobnego pozwolić. Ciekawi jesteśmy, jak też nasze krakowskie społeczeństwo odniesie się do przyjścia z pomocą Bonifratrom, którzy na rzecz odrestaurowania swego szpitala balu nie urządzają, odwołują się jedynie do „znanej dobroczynności Krakowian“. Ten i ów nie pożałuje z pewnością pieniędzy na cel tak szlachetny, lecz tych ofiarodawców napewno nie będzie zbyt wielu, a znajdą się nawet i tacy, którzy wyrażą swe niezadowolenie, iż niepokoi się ich podobnymi drobiazgami, gdy oni mają głowy zajęte czemś daleko ważniejszem, t. j. robieniem dobrych interesów, które pozwalałyby im na wesołą zabawę.

Rozbawienie karnawałowe u jednych, kłopoty o zaspokojenie najniezbędniejszych potrzeb codziennego życia u drugich są przyczyną, że polityką i sprawami z nią związek mającemi mało kto się zajmuje, a choć nawet nieraz spotka się ktoś z czemś w pismach codziennych, co mu się nie podoba, bardzo prędko zapomina o tem. Przesilenie gabinetowe, częstokroć niebezpieczne, podobnie jak ząbkowanie u małych dzieci przeszliśmy stosunkowo dość szczęśliwie, gabinet Ponikowskiego utrzymał się w składzie prawie niezmienionym, a sprawa Wileńszczyzny jakoś niebardzo obchodzi nasz ogół, zbyt bowiem mało uwagi poświęcają jej nawet pisma polityczne, zdaje się godzące na to, że powinno tak być, jak sobie życzy Lloyd George i jego przyjaciele, a na wolę interesowanej ludności oglądać się zbytnio nie należy. Wileńszczyzna powiedziała swoje, a wyższa racya stanu mówi swoje, ponieważ ta druga jest dla świata bardziej miarodajną, trzeba się będzie z nią pogodzić, a piękne teorye samostanowienia ludu o swym losie pozostaną dalej na papierze, który jest bardzo cierpliwy. Przygotowujemy się także do wzięcia udziału w konferencyi genueńskiej. W tym celu odbył się zjazd dyplomatów czeskich, polskich, rumuńskich i jugosłowiańskich w Belgradzie gdzie, jak nas zapewniają doszło do zupełnego porozumienia i oznaczenia wytycznych, któremi kierować się mają przedstawiciele tych państw w Genui. Czy my jednak na tem dobrze wyjdziemy, to dopiero przyszłość pokaże, niejednokrotnie wspominaliśmy już, że wszelkie spółki obliczone są zwykle tylko na to, aby jeden ze wspólników zrobił interes kosztem drugiego. A właśnie przyjaźń z Czechami, tak teraz modna w niektórych kołach warszawskich, przedstawia się jakoś bardzo niewyraźnie, a bracia Czesi, choć nas oficyalnie kokietują, gdyż im tego potrzeba dla swych celów, w praktyce nie odnoszą się tak sympatycznie do polskiego społeczeństwa, dowodów zaś na to nie trzeba szukać daleko, wystarczy przejść przez most na Olzy. Z zawieraniem przyjaźni powinno się być bardzo ostrożnym, pamiętając stare przysłowie: „Chroń mnie Panie Boże od przyjaciół, bo z nieprzyjaciółmi dam sobie jakoś radę“.

Konferencya genueńska mająca się zająć przedewszystkiem sprawą odbudowy Europy, w miarę jak się zbliża termin jej otwarcia t. j. dzień 10 kwietnia, przedstawia się w coraz niewyraźniejszem świetle. Ameryka powiedziała już swoje, t. j., że nie weźmie w niej udziału, Francya, choć Poincare doszedł z Lloydem Georgem w Boulogne do porozumienia, w praktyce okazuje coś zupełnie przeciwnego, skończyć się zatem może na tem, że w Genui znajdzie się tylko Lloyd George i jego przyjaciele, czyli że zamierzenie bardzo piękne w zasadzie, nie osiągnie właściwie pożądanego celu, nawet gdyby zjazd genueński raczył zaszczycić swą obecnością sam pan Lenin, mający podobno ochotę przewietrzyć się trochę i jak zapewniają, nakiwać przy tej sposobności Anglikom, że z Rosyi sowieckiej żartować sobie nie wolno.

Sam termin zwołania konferencyi, która przerywana być musi Świętami Wielkanocnemi, jest dość niefortunnie wybrany, choć zapewniają, że Lloyd George ma zamiar urządzić wielkie święcone, oczywiście na koszt państw odbudować się mających, i spodziewa się doprowadzić na niem do ogólnego porozumienia, t. j. do zgodzenia się wszystkich na to co on postanowi.

Konferencya waszyngtońska powiedziała swoje, a interesowane mocarstwa robią swoje, niezawodnie taki sam wynik będzie i konferencyi genueńskiej, czyli, że szkoda sobie nią wogóle zawracać głowę, gdyż z tej mąki nie będzie chleba, a gdyby był, to z pewnością z zakalcem.

Najbardziej pocieszającą jest wiadomość, powtarzana obecnie coraz częściej, że podobno Lloyd George ma się zamiar w najbliższym już czasie przenieść w dobrze zasłużony stan spoczynku, ponieważ zaś on dotąd całą polityką kręcił, niczem szewc kopytem, możemy żywić nadzieję, że po jego ustąpieniu wrócą stosunki nareszcie na normalne tory i przecież raz opuści nas gniotąca od lat tylu zmora, że wola nasza własna nic nie znaczy, a tańczyć musimy, jak nam kto inny zagra. Ponieważ zaś owym głównym muzykantem, który kazał tańczyć innym, był właśnie Lloyd George, pożegnamy go bez żalu, życząc szczęścia w dalszej wędrówce życiowej. Dla Anglii zdziałał wiele, to mu każdy przyznać musi, reszcie świata zalał jednak dość gorącego sadła za skórę, a jego dyktatura nie była względniejszą od Leninowej. W każdym razie konferencyę genueńską ma jeszcze on otworzyć, czy ją jednak zamknie, to się pokaże dopiero w dalszym ciągu. Obrady genueńskie rozpoczną się posiedzeniami plenarnemi, potem nastąpią sesye rzeczoznawców, co potrwa co najmniej z miesiąc, zakończenia w najlepszym wypadku spodziewać się można gdzieś dopiero w maju i wtedy będzie się można dowiedzieć, jakie też obmyślano dla nas środki ratunku. Cieszmy się zatem, a gdy kto zapyta, kiedy już nareszcie nastaną dla nas lepsze czasy, odpowiadajmy śmiało: „w maju!...“

Z chwilą nastania wiosny zaczynają do nas powracać i jaskółki wojenne. Pisma codzienne od czasu do czasu przynoszą wiadomości o przygotowywaniu się sowietów do akcyi wojennej, która oczywiście musiałaby być skierowaną przedewszystkiem przeciw Polsce i Rumunii. Opowiadają także o rzekomych usiłowaniach jenerała Wrangla rozpoczęcia kroków zaczepnych przeciw Rosyi i to bardzo seryo, skoro na czele tworzącej się armii ma stanąć nieboszczyk wielki książe Mikołaj Mikołajewicz, który zdecydował się już na przerwanie swego wiecznego spoczynku i jest podobno w drodze do Odessy. Równocześnie ma na Ukrainie prowadzić w dalszym ciągu przerwaną chwilowo akcyę Petiura, co wszystko razem wziąwszy, zapowiada Europie nowy zamęt i chaos i każe się spodziewać, że wojna światowa przejdzie w stadyum i zmienić się gotowa w trzydziestoletnią, że zatem może się sprawdzić przepowiednia jakiegoś proroka z r. 1914., który utrzymywał, iż końca tej wojny doczeka na całym świecie tylko czterech ludzi z tych, którzy jej początek oglądali.

Jedyna nadzieja w tem, że owe wiadomości o przygotowaniach wojennych są oparte na tak realnych podstawach, jak owa senzacyjna depesza jednego z pism krakowskich, powtórzona przez całą prasę polską, o ujęciu niebezpiecznego bandyty, Słomczyńskiego, i osadzenia go w częstochowskiem więzieniu. Redakcya *Nowości Illustrowanych*, pragnąc otrzymać podobiznę tego osobnika, o którym tyle mówiono i pisano, zwróciła się do Komendy Policyi Państwowej w Częstochowie, skąd pod datą 9 marca b. r. nadesłano jej urzędowe, bardzo lakoniczne zawiadomienie następującej treści: „W odpowiedzi na pismo z dnia 2 marca r. b. komunikuje się, że herszt bandytów Jakób Słomczyński ujętym nie został“.

Wobec tego zaczynamy nie wierzyć także wiadomości podanej przez ten sam dziennik, a powtórzonej przez nas w poprzednim numerze, o owym straszliwym wężu, amatorze ludzkiego mięsa i cielęciny, który takim podobno strachem napawa mieszkańców Afryki, dokąd przybył na gościnne występy. Czy pojawienie się jego stoi w jakim związku ze spodziewaną dymisyą Lloyd'a George'a i czy będzie mieć wpływ jakiś na odroczenie konferencyi genueńskiej, tego dotąd sprawdzić nie zdołaliśmy. To tylko jest pewne, że redakcya owego dziennika nie wysłała na miejsce swego specyalnego sprawozdawcę, celem zbadania sprawy, a to z obawy, aby pożeracz cieląt nie wyrządził mu jakowejś krzywdy.

Nie zgadzamy się również z notatką tegoż pisma, jakoby w Krakowie był tylko jeden biały wróbel, widocznie członek Końskiego Kasyna, skoro tam najchętniej na gałęzi przesiaduje i trzyma się zdala od reszty szarej gawiedzi. Nie uważamy go za jakąś osobliwość, zasługującą na podanie do wiadomości *urbi et orbi*, sami bowiem na własne oczy w ubiegłym tygodniu widzieliśmy aż trzech zupełnie siwych Wróblów, nie siadających jednak na gałęziach, lecz chętniej na stołku lub ławce, jako demokraci bowiem z przekonań, stronią od kanapy.

Karmienie czytelników podobnemi sensacyami świadczy w każdym razie, że albo w polityce panuje zupełny zastój, albo, że połączenie telefoniczne z Wiedniem jest znowu zerwane.

jeszcze. Dotychczas 2266 zabitych, 1632 rannych. W innych prowincyach ruch powstańczy („ajka") ogarnia coraz większe masy w środku kraju, w Assam kulisi w plantacyach burzą się przeciw Europejczykom.

Jedynie ludność mahometańska trzymała się dotąd zdala od ruchu powstańczego i wśród niej jednak zaczyna wrzeć, co jest następstwem angielskiej polityki stosowanej wobec rządu tureckiego. Spowodowało to wicekróla Indyi, lorda Reading, do wysłania telegramu z żądaniem zmiany jej kierunku. Głos jego, jak się zdaje, nie odniesie skutku, słychać nawet, że lord Reading otrzyma dymisyę i to bezpośrednio po ukończeniu objażdżki Indyi przez księcia Walii, co jest dowodem, że Anglia o jakichkolwiek ustępstwach bynajmniej nie myśli.

Angielski następca tronu objeżdża tymczasem Indye, oczywiście tylko okolice najspokojniejsze i przy zachowaniu najdalej idących środków ostrożności. Przyjęcie jego ma charakter czysto oficyalny, szersze sfery nie biorą w niem udziału, w niektórych okolicach skorzystały nawet ze sposobności, aby głośno zamanifestować swe antiangielskie usposobienie.



Groźne położenie w Indyach: Księżę Walii z żoną Nawaba Begum w drodze na uroczyste przyjęcie.

Marszałek Joffre w Japonii.

Prasa francuska nie ma poprostu wyrazów na wyrażenie radości z powodu wspaniałego przyjęcia,



Marszałek Joffre w Japonii: Wylądowanie marszałka Joffra w Jokohamie w dniu 22 stycznia b. r.

z jakiem się spotkał marszałek Joffre podczas swojego pobytu w Japonii, dokąd przybył z francuskich kolonii w Indo-chinach. Marszałka, który zabawił w Japonii dwa tygodnie, podejmowano z honorami prawdziwie monarszymi, tak czynniki oficyalne, jak najszersze masy ludności składały mu na każdym kroku dowody uznania i sympatyi, stwierdzające, że między Japonią a Francyą panują serdeczniejsze stosunki, niżby nawet kto mógł sądzić.

Na powitanie marszałka, który na krążowniku francuskim *Montcalm* przybył wraz z żoną i córką w dniu 22 stycznia b. r. do Jokohamy, wyruszył na pełne morze japoński krążownik *Kongo*, wjazdowi do portu towarzyszyła eskadra lotników. Przyjęcie w Jokohamie i podróż do Tokio były jednym szeregiem serdecznych owacyi na cześć wielkiego francuskiego wodza, wzdłuż ulic, któremi przejeżdżał wojska tworzyły szpaler, ludność cywilna obsypywała pojazd kwiatami, okrzykom „Banzaj!" nie było końca. Joffre miał na sobie mundur czarny i czerwone spodnie, przedwojenny uniform francuski, któremu pozostał wierny.

Specyalnym pociągiem udał się marszałek z Jokohamy do Tokio, witany wszędzie owacyjnie, między innemi wzruszającem było wręczenie mu kwiatów przez dwie dziewczynki, Teresę i Marcelę Eymard, których ojciec poległ pod Verdun. Powitanie w Tokio było również wyróżniające i tutaj wzięły w niem udział wszystkie warstwy społeczeństwa japońskiego oraz młodzież szkolna, z niezbędnemi w takim wypadku chorągiewkami w rękach.

W program pobytu w Tokio wchodziły: śniadanie w pałacu księcia rejenta, korowód z lampionami, urządzony przez ludność miasta, przedstawienia teatralne, rewie wojskowe, zwiedzanie osobliwości miasta i okolicy. Mieszkańcy Tokio prześcigiwali się w okazywaniu bohaterowi francuskiemu dowodów sympatyi, spotykał się z nimi na każdym kroku i przy każdej sposobności, ze strony wszystkich warstw społecznych. Marszałek zwiedził kaplicę pamiątkową, poświęconą pamięci poległych w czasie ostatniej wojny, w jednej ze świątyń odbył się wykład dla ludności o jego zasługach i znaczeniu dla Francyi. Minister wojny wręczył mu imieniem armii uzbrojenie japońskiego samuraja, na trawniku przed teatrem, w którym odbywało się galowe przedstawienie na cześć francuskiego gościa, ułożono z kwiatów nazwiska miejscowości, gdzie marszałek Joffre odznaczył się w ciągu ostatniej wojny. Pod czas obiadu w ambasadzie francuskiej miał marszałek sposobność zetknąć się osobiście z słynnym z czasów wojny rosyjsko-japońskiej, admirałem Togo.

Znakomici malarze japońscy ubiegali się o zaszczyt pozowania im do obrazu, w adresie honorowym, wręczonym przez prezydyum komitetu obywatelskiego, zajmującego się urządzeniem przyjęcia, użyto wyrażenia, nadanego marszałkowi przez żołnierzy po bitwie nad Marną, to jest popularnej nazwy „Dziadek".

Przyjęcie w Japonii miało charakter częściowo europejski, na co składały się przyjęcia i zabawy z tańcami, jakich nie powstydziłby się Paryż, częściowo zaś narodowy japoński i to była najbardziej interesująca część programu.



Marszałek Joffre w Japonii: Marszałek Joffre w towarzystwie baronowej Matsui, żony byłego posła japońskiego w Paryżu.

Ostatnie chwile wielkiego podróżnika.

O ostatnich chwilach wielkiego podróżnika Shackletona, który, jak wiadomo, zmarł w początkach stycznia b. r. podczas swej podróży do bieguna południowego, podają pisma angielskie bliższe szczegóły, nadesłane przez kapitana Husseya, meteorologa jego wyprawy.

Statek wyprawy „Quest", walczył ze straszliwą burzą w dniach, poprzedzających zgon sir Shackletona. Fale, wysokości przeszło 40 st., groziły zatopieniem statku: maszyny działały nieprawidłowo; Cook Green, jeden z uczestników wyprawy, oparzył sobie nogę wrzącą wodą, tak, że mu skóra zeszła, zaś maszt uderzył majora Carra, obezwładniając go na pewien czas.

Shackleton przez dwa dni nie zaznał odpoczynku. Kerr, przekonawszy się, że zapas wody się wyczerpuje, zawiadomił o tem Wilda, ten zaś oznajmił niewesołą nowinę Shackletonowi, który niezwłocznie przedsięwziął kroki celem oszczędzenia resztek wody. Można było dawać już tylko pół kwarty dziennie ludziom, na mycie się jednak i pranie odzieży już wody nie starczyło. Jakkolwiek fakt ten powiększył niewątpliwie niepokój Shackletona, nie okazał tego otoczeniu.

Huragan ucichł się znacznie 25 grudnia, niemniej jednak morze było niesłychanie wzburzone. Shackleton postanowił, że obiad wigilijny odbędzie się po przyjeździe do Georgii południowej; gdy to nastąpiło wyznaczono dzień 5 stycznia na biesiadę, mającą się odbyć na pokładzie statku. Dnia poprzedniego otwarto paczki z podarunkami, przyrządzono indyki i pudingi. O 5-tej nad ranem kapitan Hussey zbudził towarzyszów i służbę wiadomością, że biesiady nie będzie bo „stary bardzo chory", niebawem nastąpiła śmierć.

Oto wyjątki z ostatniego dziennika Shackletona:

„2 gi stycznia. O 1-ej po południu minęliśmy pierwszą górę. Dawne, dobrze znane widoki, obudziły we mnie wspomnienia, przygłuszone latami pracy. Błękitne pieczary jaśniały blaskiem, pochwyconym z nieba; zielone pagórki wyglądały z toni. Ach, Boże! Ileż to lat minęło od czasu, kiedy w kwiecie młodości wyruszyłem na pierwszą walkę. Starzeję się, czuję coraz większe zmęczenie, ale trzeba prowadzić dalej.

4-ty stycznia. Nareszcie po 16 tu dniach zamętu i trwogi zarzuciliśmy kotwicę w Grytviken (Georgia południowa), w cichy słoneczny dzień. Jakże znane wydało mi się to wybrzeże! Płynąc przypatrywaliśmy się z wielkim zajęciem miejscowościom, przez które przebijaliśmy się po podróży łodzią.

Teraz musimy spieszyć całą siłą; ale widoki nie są zbyt wesoło, bo roboty niewiele. Wśród zapadającego zmierzchu ujrzałem samotną gwiazdę, zawieszoną, niby klejnot, nad zatoką".

Tu kończy się dziennik. W sześć godzin później Shackleton już nie żył.

Z zapomnianego zakątka.

Część stałego lądu europejskiego w południowo-wschodnich jego okolicach, mianowicie Tessalia i Tracya, znana dobrze z historyi, dziś prawie zapomniana, przypominają się przecież pamięci, stanowiąc kość niezgody przy podziale łupów powojennych. Okolice te, które były niegdyś widownią ważnych zdarzeń politycznych, stanowiły w ostatnich czasach resztki posiadłości tureckich w Europie, obecnie w następstwie wojny przechodzą pod inne panowanie, co spotyka się z gwałtownym protestem ze strony Turcyi, a stać się może bardzo łatwo powodem wy

buchu zawieruchy światowej, mogącej bardzo łatwo skończyć się fatalnie dla jej inicyatorów.

Polityka angielska, nie licząc się bynajmniej z możliwemi następstwami, a uwzględniając jedynie swe własne interesy, mające na celu zawładnięcie morzami całego świata, postanowiła pognębić zupeł-



Marszałek Joffre w Japonii: Uzbrojenie japońskiego samuraja, ofiarowane marszałkowi imieniem armi i przez ministra wojny.

nie Turcyę, przedewszystkiem zaś wyrugować ją zupełnie z Europy i zająć dla siebie Konstantynopol, a przez jego posiadanie owładnąć Morze Czarne. *De nomine* Konstantynopol miałby zostać wolnem miastem, *de facto* byłaby to kolonia angielska nad Bosforem. Dla angielskich celów leją swą krew Grecy, marzący ciągle o utworzeniu państwa wielko greckiego z stolicą w Konstantynopolu, pewien mnich grecki przepowiedział nawet królowi Konstantynowi, że wjedzie w tryumfie do dawnej stolicy wschodnio-rzymskiego cesarstwa, ale się widocznie pomylił, gdyż termin już dawno minął, a proroctwo się nie spełniło.

Ziemie te, którędy niegdyś posuwała się nawała perska na Grecyę, a następnie turecka na Europę,



Z zapomnianego zakątka: Prymitywna winda, za pomocą której dostać się można do greckiego monastyru św. Trójcy, położonego na 60-metrowej ścianie skalnej, dominującej nad równiną tessalską.

gospodarczo bez znaczenia, mogą przecież bardzo łatwo odegrać ważną rolę w życiu politycznem, o ile Anglia nie zechce zrezygnować z swego projektu ograniczenia tureckich posiadłości wyłącznie na Azyę i przeniesienia siedziby kalifatu do Mekki, co mogłoby jedno z drugiem stać się zarzewiem wojny świętej rasy żółtej przeciw Europejczykom.

Z TEATRÓW

Teatr im. Jul. Słowackiego: *Matka*, dramat St. Przybyszewskiego — Teatr „Bagatela“: *Topiel*, dramat Przybyszewskiego- Teatr „Opera“ i „Operetka“: *Amor w śniegu*, operetka w 3-ch aktach Bernatzky'ego.

Trzydziestolecie pracy pisarskiej Stanisława Przybyszewskiego obchodziły sfery teatralne i literackie w Krakowie uroczyście i serdecznie, bez tego specyalnego „nastroju“, jaki wytworzył się w swoim czasie w utworach i koło utworów autora „Złotego runa“... Nie ujmując w niczem istotnych zasług znakomitego pisarza, nie obniżając bynajmniej roli, jaką jego występy odegrały przed dwudziestu pięciu laty, stwierdzić dziś ze spokojem możemy, że więcej w jego dramatach było niejednokrotnie suggestyi niż tragizmu istotnego, więcej „nagich“, postrzępionych nerwów, niż „nagiej“ duszy, więcej konfliktu, wynikłego z niedomówień, półpowiedzeń lub grobowych pauz, niż istotnego starcia się dwóch sił lub namiętności...

Wszak każdy bezstronny obserwator przyzna, że w „Matce“ nie byłoby tych wszystkich nastrojów i spięć nerwowych, gdyby np. ów serdeczny przyjaciel Konrada, tak go szczerze — jak twierdzi — kochający, był jeszcze za granicą wziął na przyjacielską pogawędkę i powiedział od serca: „Konradzie drogi, twój ojciec zabił się sam, widząc, że go żona (twoja niestety matka) zdradza z Borowskim; wobec tego pluń na fabrykę odziedziczoną po ojcu, matce przebacz, w córce mordercy ojca się nie durz, a pracuj spokojnie tu, zagranicą, zdaleka od splugawionego gniazda“... Tak postąpiłby prawdy przyjaciel; tak nie postępuje Przyjaciel Przybyszewskiego — uosobienie symbolu, nastroju, uzupełnienie człowieczej... „jaźni“...

Brak szczerości i odwagi cywilnej u bohaterów i bohaterek Przybyszewskiego — oto podłoże tragedyi... „Naga dusza“, o ile występuje sama, to w półmroku. Podobnie rzecz się ma z „Topielą“ i jeszcze niektórymi innymi dramatami, które tak kiedyś „nerwowały“ i o spazmy przyprawiały... zwłaszcza studentki i wyzwolone „nagie dusze“ gimnazyalistek.

W czem Przybyszewski mistrzem — to w budowie dyalogu, w akcentowaniu słów, w kreśleniu sytuacyi. Owacye też, zgotowane siwemu już dziś autorowi, na miejscu były i bardzo zasłużone... tylko za inne zasługi, niż te, które wielce szanownemu pisarzowi wymawiano... W teatrze Słowackiego od serca i roztropnie przemówił dyr. Trzciński, w „Bagateli“ p. Dąbrowski — mowy inne opierały się na mylnych przesłankach. Grano obie tragedye tu i tam dość dobrze, aczkolwiek nie uderzono w „najwyższy ton“.

Nie doznałem emocyi i dreszczyku ani przy „Matce“, ani nad brzegiem „Topieli“ — doznałem zato (o zgrozo, co za upadek sądu! upodobań!) na operetce „Amor w śniegu“. — Miły Boże! jeszcze mi teraz wilgotno w oczach, gdy pomyślę, że „nasz“ Najjaśniejszy Pan, „przy którym stoimy i stać chcemy“, jeszcze wcale... wcale!!.. chodzi krzepko, poluje wyśmienicie, orędzia odczytuje z przejęciem, ba na „cercl'ach“ taki jeszcze przytomny, o fenomenalnej pamięci staruszek!!! Dobrze, że ma Römlera przy sobie, ten go nie zdradzi, plotek nie będzie — bo, cóż komu do tego, że Najjaśniejszy Pan lubi oglądać łydeczki baletniczek... Przecież to są sprawy bardzo dla państwa ważne, no i miłe, jak twierdzi mój teść, kubek w kubek do Najjaśniejszego podobny i równie dobrze znający się na damskich koroneczkach, jak na „wirdżiniach“ ze słomką, a z ludzi uznający jedynie arystokracyę (może być lekko fałszowana!), na czele której stoi dom habsburgsko-lotaryński...

Operetka powyższa na wszelkie uznanie zasługuje. Muzyka w niej subtelna, barwna, wdzięcząca się, jak słodziutki buziak młodziutkiej Wiedenki, akcya subtelna, oczywiście żawo-sentymentalna. Co zaś najważniejsza, że kostyumowa ta operetka jest dystyngowana tak, że spokojnie mogą mamy zaprowadzić na nie swoje i cudze córeczki. Grają ją zaś u nas wybornie a ze smakiem. P. Lelewicz przepyszny i w masce i w majestacie (cesarz). P. Korabianka Gertrudę śpiewa i gra zajmująco, a w niektórych scenach wprost doskonale. Śpiewaka v. Rhyn'a arcysubtelnie odtwarza p. Ostrowski. Eleganckim księciem v. Parthey jest p. Rewski, pełną temperamentu Kraamer wybornie gra p.



Ostatnie chwile wielkiego podróżnika: Shackleton, na pokładzie swego okrętu „Quest“, na którym odbył swą ostatnią podróż do bieguna południowego.

Feldmann-Sawicka. Osobno piszemy o p. Karasińskim, który wybija się stanowczo na plan pierwszy. Role swe pojmuje inteligentnie, nie powtarza się; siła to doskonała. Grał wybornie Römlera. *b—i.*

Nasz „Przewodnik literacki“.

Bolesław Dan. „Pieśń nad pieśniami“ króla Salomona. Lwów 1922 (wydawnictwo Monsalwat).

Dyszące wschodnią namiętnością „Pieśni nad pieśniami“ Salomona, znalazły się w Piśmie świętem jak Piłat w Credo. Głośny hebraista Michaelis twier-



Z zapomnianego zakątka: Jedyny dostęp do greckiego monastyru św. Trójcy, zbudowanego na urwisku skalnem nad równiną tessalską.

dził podobno, że wolałby tłómaczyć widzenia św. Jana, niż tę pieśń, taką trudność przedstawiała ta gmatwanina, najniestosowniej podzielona na rozdziały przez późniejszych przepisywaczy i układaczy. Dzięki wreszcie usiłowaniom badaczy udało się wydzielić i uporządkować tego hebrajskiego Anakreona. Odtąd znalazł on licznych tłómaczy, interpretatorów, naśladowników, przerabiaczy.

Z naszych przekładów tych pieśni najwięcej jest znany przekład Ujejskiego. Ale autor Chorału nadał pieśniom formę zbyt lekką, piosenkową. Ostatni przekład p. Dana formą swą, kolorytem i językiem jest daleko więcej zbliżony do oryginału. Drga miłosnym szałem upojenia, chucią bezgraniczną. Mniej szczęśliwy jest jednak p. Dan w doborze rymów. „Stawów“ rymuje z „murawy“, „ramion“ z „łamią“, „chłód“ z „wódi“, „las“ z „gwiazd“ itd. Wydanie ozdabiają (?) rysunki (drzeworyty) futurystyczne p. Lillego. Są na nich „stylizowane“ niby jakieś drzewa, niby sarny...

Przecław Smolik. „Przez lądy i oceany“. Warszawa-Kraków, nakł. księgarni J. Czerneckiego.

Tytuł i oprawa jak książki dla dzieci, czemu treść nie odpowiada. Zapewne, że książka ta może być z pożytkiem czytana przez młodzież dojrzalszą, ale nie dla niej jest pisana. Lekarz, polak w wojsku austryackiem, wzięty został do niewoli rosyjskiej i opowiada, co przebywał. Nie literat, więc opowiadanie jego jest proste, bezpretensyonalne, ale w tem właśnie jego wartość, bo nie puszcza wodzy fantazyi, nie koloryzuje, a podaje to, co widział i co



Z teatrów: „Amor w śniegu“. P. Andrzej Lelewicz, jako cesarz Franc. Józef. Fot. art. Studio

przeżył. A przeżył wiele, patrzeć umiał. Opisuje swą podróż na Syberyę, swą niewolę. Kreśli nam stosunki w obozach jeńców, w szpitalach. Podaje nadzwyczaj ciekawe szczegóły o polskiej emigracyi na Syberyi, o polskim żołnierzu tułaczu. Przeżył wybuch rewolucyi, był pod rządami Czechów i admirała Kołczaka. Można powiedzieć, że tu pierwszy raz spotykamy się z jasnem przedstawieniem tych wypadków. Niedola naszych wygnańców, owo syberyjskie San Domingo, nikczemność Czechów — wystąpują tu w całej pełni. Zapoznajemy się też z miastami syberyjskiemi i chińskiemi, z ludnością tych egzotycznych krajów. Powrót do Polski przez Japonię, Ocean Indyjski, morze Czerwone itd. wypełnia resztę kart tej wysoce zajmującej i pouczającej książki. Czyta się też ją z rosnącem zaciekawieniem.

kb.

Na Szpital Bonifratrów w Krakowie w myśl odezwy zamieszczonej w Nr. 10 „Nowości Illustrowanych“ złożyła w Administracyi naszego pisma p. Z. Velké z Krakowa 500 Mp.

Do Konwontu Bonifratrów (Kraków, ul. Krakowska l. 48) wpłynęły następujące ofiary: OO. Redemptoryści Kraków-Podgórze — 50.000 Mp, Dr Michał Hładij Kraków — 100.000 Mp, OO. Redemptoryści w Tuchowie — 10.000 Mp, Kulinowscy Kraków — 10.000 Mp, Dr Tadeusz Epstein Kraków — 5.000 Mp, Urząd parafialny Przyborówka 5.000 Mp, Ks. Józef Drozd w Sanoku — 2.000 Mp, Ks. Jan Mosodowicz w Jaśliku — 1000 Mp, Zofia Ciechanowska Kraków — 1.000 Mp, Stasicki Lwów — 100 Mp, Marya Haralewiczówna Radomyśl — 250 Mp, od bezimiennej osoby Poznań — 100.000 Mp, Wydawnictwo „Nowości Illustrowanych“ Kraków — 10.000 Mp, B. W. Weindling Kraków — 30.000.

Konwent Bonifratrów wszystkim WW. PP. Ofiarodawcom składa staropolskie najserdeczniejsze „Bóg zapłać!“



Z teatrów: „Amor w śniegu“. Akt II. Cesarz (p. Lelewicz) odbywa cercle. Po prawej ręce Rö ler, pułkownik (p. Karaśiński) po lewej v. Parthey (p. Rewski) Elsa się burmistrz Ischlu. Fot. art. Studio.

Kącik humorystyczny.

Fatalna trzynastka.

— Dyabli nadali — narzekał pan radca — z tem nowem oznaczeniem godzin liczbami od jeden do dwudziestu cztery. Dawniej jadałem obiad o pierwszej, teraz o trzynastej, i prawdopodobnie z tego powodu mam ciągłe awantury z moją starą...

Żona — papież.

(Podsłuchana rozmowa).

— I cóż tam żona dobrodziejka?

— Powiadam panu, mam z nią krzyż Pański!... Przewróciło się kobiecie w głowie i wydaje się jej, że jest papieżem, a ja biedak muszę to odcierpieć!

— W jakiż sposób daje to panu odczuć?

— Nabiła sobie głowę, że papież rozdaje kapelusze kardynalskie i dalejże go naśladować, a w tem cała bieda, że wszystkie mnie się dostają, niech się tylko spóźnię na obiad lub wrócę do domu wieczór po dziesiątej...

Gabinet „fachowy“.

Anglicy pragną mieć „na właściwem miejscu właściwego człowieka“, Rzymianie zaś mówili: „nomen-omen“. Stosując się do tego, ułożono następującą listę kandydatów na członków gabinetu złożonego wyłącznie z posłów sejmowych.

Minister spraw zagranicznych:
Feliks Duda lub Zawada.

Minister spraw wewnętrznych:
Dominik Tutaj.

Minister skarbu:
Al. Skarbek, Antoni Chudy, Jerzy Kantor, Jan Pieniążek, Perl.

Minister komunikacyi:
Ks. Pośpiech, Tabor.

Minister aprowizacyi:
Józef Bochenek, Franciszek Maślanka, Teofil Kurczak, Antoni Pączek, Eug. Okoń.

Minister wojny:
Jakób Bojko, Szymon Piechota.

Minister oświaty: *vacat.*

Minister handlu i przemysłu:
Kaz. Krawiec, Tadeusz Tabaczyński, Jan Smoła.

Minister rolnictwa:
Tomasz Wróbel lub Franciszek Jęczmyk.

Minister sprawiedliwości:
Antoni Mizera.

Minister robót publicznych:
Adam Cieśla.

Na **prezydenta** gabinetu upatrzono albo ministr sprawiedliwości: Mizerę, albo Jana Skrzypka, albo Józefa Zamiarę.

Tryumfy „Cracovii“ w Pradze.

— Cóż powiesz o zbajaniu się naszych piłkotłuków w Pradze?

— Z góry wiedziałem, że tak będzie.

— ? ?

— Słyszałeś to kiedy, abyśmy wygrali w jakiejkolwiek bądź sprawie z Czechami? Zawsze nas orżną i śmieją się z głupich, co się z nimi wdają.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę PT. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył K. Misiński, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nazwę pewnego okresu czasu.

```
      ■
   –  ■  –
– –  ■  – –
– –  ■  – –
– –  ■  – –
– –  ■  – –
– –  ■  – –
   –  ■  –
      ■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Zwierze drapieżne, 3. Wyspa na morzu Śródziemnem, 4. Opera Moniuszki, 5. Miejsce święte d'a Turków, 6. Rodzaj gleby, 7. Roślina ogrodowa używana jako przyprawa, 8. Miejscowość w Galicyi wschodniej, 9. Owad, 10. Spółgłoska.

Zgłoskówka.

Ułożył N. P., Biała.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich nazwę miasta w Hiszpanii:

Posada, Radomyśl, Argos, Samara.

Okienko.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy równobrzmiące w kierunku poziomym i pionowym:

```
a a a a a
d   d   e
i i r r r
r   r   t
t t t y y
```

Znaczenie wyrazów: 1. Nazwisko rodowe jednego z najwyższych dostojników, 2. Uroczyste nakrycie głowy, 3. Rozkaz sułtański.

Grzebieniówka.

Ułożyła M. Kubicówna, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy nazwę nowo założonego bardzo popularnego dwutygodnika.

```
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
–   –   –   –   –   –   –
–   –   –   –   –   –   –
```

Znaczenie wyrazów: 1. Tytuł władcy, 2. Imię męskie, 3. Strój rzymski, 4. Męska postać biblijna, 5. Szlachetny kamień, 6. Dopływ Wisły, 7 Znany pierwiastek.

Zgłoskówka.

Ułożył F. K. z Łodzi.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich nazwę jednej z europejskich stolic:

Zakonnica, Beludżystan, motyka, nowina, Zapolska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) Zdzisława Dębickiego: „Za Atlantykiem"; 2) Kalendarz biurkowy na rok 1922.

Rozwiązania zagadek z Nr. 9.

Łamigłówka. Karnawał.
Zadanie do uzupełnienia: Rada, niwa, rana.
Trójkąt magiczny. Leandra, Ajaks, Numa, Don, Ra, a.
REBUS: Rozwiąże rebus i Bronia
choć się pocić biednej padnie,
Ale temu z rzędem konia,
kto życia rebus odgadnie.
Zgłoskówka: Biały Dom.

Dobre rozwiązania nadesłali p. p.: K. Wątorek Lublin, K. Dębicki Sambor, S. Kozik Piotrków, M. Drohocki Warszawa, J. Benedyktowicz Kraków, H. Rakowiecka Warszawa, M. Skórkowa Kraków, L. Moniszewski Warszawa, J. Kalinowski Poznań, S. Węgrzyn Kraków, S. Górska Warszawa, J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, Z. Sokolnicka Warszawa, B. Szypulska Wieliczka, W. Nowotarska Jarosław, J. Cercha Miechów, M. Müller Poznań, M. Kubicówna Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Boratyńska Poznań, M. Planecka Kraków, S. Grabowski Wadowice, H. Malinowski Warszawa, J. Walczewska Lwów, S. Sokołowski Lwów, M. Stachowicz Kraków.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) K. Wątorek, Lublin (powieść); 2) M. Müller, Poznań (kalendarz). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 25 mk.

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego